NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 25 marca 1916. Nr. 13.

Szlakiem bojowym Legionów.



Okopy w lesie.

Treść numeru: N. K. N. przed nową fazą. — Z okupacyi austro-węgierskiej na Wołyniu. — Wojna w Polsce. — W ogniu granatów. — Na wschodnim froncie. — „Krakowskie dzieci“ w okopach. — Najgroźniejszy przeciwnik na morzu i t. d.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy I-szy kwartał XIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Austryi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·— marek
Półrocznie	8 „	8·50 „
Kwartalnie	4 „	4·25 „

N. K. N. przed nową fazą.

W naszem życiu narodowo-politycznem zaszedł w ostatnich czasach fakt doniosły i upragniony: konsolidacya stronnictw. Pociągnęła ona za sobą wstąpienie posłów socyalistycznych do Koła polskiego, a dwóch konserwatywnych stronnictw wschodnio-galicyjskich do Naczelnego Komitetu Narodowego. W ten sposób w obu tych organach narodowych są obecnie reprezentowane wszystkie stronnictwa i partye polskie, a kompetencya i zakres działalności Koła i N. K. N. zostały także rozgraniczone i ustalone.

Ostatnie posiedzenie N. K. N. w dawnym składzie, przed wejściem w nową fazę swej działalności, odbyło się w Krakowie dnia 18 b. m. Z tego właśnie posiedzenia zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografię.

Zgon wybitnego działacza polskiego.

W Wiedniu zmarł w tych dniach ś. p. Alfred Zgórski, członek Izby panów, b. dyrektor Banku krajowego. Należał on do wybitnych osobistości w kołach finansowych i politycznych kraju. Urodzony w roku 1848 w Przemyślu, po uzyskaniu doktoratu filozofii na uniwersytecie wiedeńskim, poświęcił się bankowości. Od roku 1883 do 1913 był dyrektorem gal. Banku krajowego, któratо instytucya dzięki jego fachowym zdolnościom doszła do wielkiego rozkwitu i znaczenia. Dr. Zgórski założył w roku 1878 Związek stowarzyszeń zarobkowych; był członkiem komisyi krajowej dla spraw przemysłowych, prezesem Tow. akcyjnego budowy wagonów w Sanoku, dalej założycielem, a po ks. Adamie Sapieże, prezesem galicyjskiego Związku ochotniczych straży pożarnych. Z przekonań demokrata, nie brał jednak bezpośredniego udziału w życiu politycznem kraju. W roku 1912 został powołany do Izby panów, gdzie należał do prawicy Izby; w czasie rozłamu w stronnictwie ludowem, którego był członkiem, wystąpił zeń i wszedł w szeregi polskiej demokracyi. Po ustąpieniu ze stanowiska dyrektora Banku krajowego przeniósł się dr. Zgórski do Wiednia, gdzie z chwilą wybuchu wojny zajął się nader gorliwie organizacyą wiedeńskich kompanii legionowych; brał nadto nader żywy udział



Z okupacyi austro-węgierskiej na Wołyniu: Klub oficerski w Łucku przy menaży.



N. K. N. przed nową fazą: Posiedzenie Naczelnego Komitetu Narodowego w dniu 18. marca 1916 r. w Krakowie.

w pracach Naczelnego Komitetu Narodowego, a od listopada zeszłego roku kierował wiedeńskiem biurem prezydyalnem N. K. N.

Ś. p. Zgórski posiadał cały szereg odznaczeń. W roku 1894 uzyskał tytuł radcy rządu; był kawalerem orderu żelaznej korony III klasy, komandorem orderu Franciszka Józefa; za swą działalność w czasie wojny otrzymał odznaczenie honorowe Czerwonego Krzyża II. klasy z dekoracyą wojenną. Osierocił żonę, syna, dr. Alfreda Zgórskiego, adwokata we Lwowie, obecnie porucznika-audytora w Wiedniu i córkę, zamężną Henrykową Baczewską.

Zasługi Zmarłego około organizacyi Legionów na terenie wiedeńskim uczciła komenda Legionów



„Krakowskie dzieci" w okopach: Komendant batalionu, major Rück (stoi) po wizytacyi okopów 13 komp 13 p. p.

w Wiedniu rozkazem dziennym, w którym między innemi powiedziano:

„Wiedeński komisaryat N. K. N. traci w Zmarłym swego przewodniczącego i organizatora od początku wojny światowej, a Legiony polskie jednego z najwybitniejszych i najszlachetniejszych krzewicieli idei legionowej.

Na eksponowanej placówce wiedeńskiej połączył ś. p. Alfred Zgórski pod sztandarem Legionów całą liczną kolonię polską i nie szczędził trudów, ażeby i w społeczeństwie niemieckiem zdobyć dla sprawy polskiej zrozumienie i sympatye.

W wiedeńskim komisaryacie N. K. N. zajął się dostojny Zmarły przedewszystkiem zorganizowaniem, wyekwipowaniem i wysyłką na plac boju licznie zgłaszających się ochotników Polaków i Niemców.



Z okupacyi austro-węgierskiej na Wołyniu: Sztab c. k. komendy obwodowej w Łucku z pułkownikiem Urbańskim (X) na czele.

Legioniści znaleźli w nim oddanego sobie i Sprawie opiekuna.

Jako prezes wiedeńskiego komisaryatu N. K. N., stał ś. p. Alfred Zgórski także na czele wszystkich wiedeńskich instytucyi legionowych i kierował niemi w duchu zgody, jedności i harmonijnej pracy dla wspólnych wielkich celów.

Zmarł Mąż Czynu i Wielki Patryota, jakich właśnie Legionom polskim i Ojczyźnie potrzeba. — Cześć Jego pamięci!"

Z okupacyi austro-węgierskiej na Wołyniu.

O ile z terenów Królestwa Polskiego, okupowanych przez wojska austro-węgierskie, dochodzą mniej lub więcej dokładne wiadomości, to bardzo skąpe nadchodzą dotychczas wieści z zarządu austro-węgierskiego na Wołyniu. Ale i tam wre praca nad przywróceniem normalnych stosunków i zagojeniem ran, jakie zadała wojna. Siedzibą komendy obwodowej jest miasto Łuck, z którego zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi. Miasto przechodziło w obecnej wojnie bardzo gorące czasy.

Ewakucya Łucka przez Rosyan rozpoczęła się w sierpniu 1915 r. Opuściły miasto wszystkie instytucye i władze rządowe rosyjskie, poczem wieczorem zaczęło wychodzić wojsko. — Wymarsz wojska był hasłem do ogólnego rabunku.

Pierwsze patrole austryackie weszły do Łucka dnia 28 sierpnia 1915 r. o godzinie 2 po południu, ale dnia 26 września 1915 r. o godzinie szóstej rano wojska rosyjskie ponownie opanowały Łuck. Naczelnikiem Rosyanie mianowali p. Karczemnego. Magistrat nie fankcyonował wcale. — Na ulicach rozpoczął się znowu rabunek. Szukano przedewszystkiem żywności w domach prywatnych, jednakże, gdy władze wojskowe stwierdziły fakta grabieży, sprawcy otrzymywali rózgi w obecności pokrzywdzonego, co naoczni świadkowie opowiadają.

Przy powtórnem zdobywaniu Łucka kanonada trwała cały dzień i całą noc. — Po trzech dniach



Zgon wybitnego działacza polskiego: S. p Alfred Zgórski.

Łuck powtórnie został przez wojska austro-węgierskie zdobyty. Ofiar w ludziach było około pięćdziesiąt, rannych około dwieście osób.

Miasto tym razem ucierpiało znacznie. Uszkodzonych zostało domów kilkadziesiąt. Najwięcej ucierpiał kościół ewangelicki. Straty wynosiły przeszło 80.000 rubli. W kościele katolickim pocisk armatni przebił dach i utkwił w kopule.

W dniu 30 września weszły tym razem już na stałe wojska austro-węgierskie. Komendantem obwodu zamianowany Polak, pułkownik Urbański, objął urzędowanie 16 października i od razu silną, energiczną



Z okupacyi austro-węgierskiej na Wołyniu: Główna ulica w Łucku, gdzie znajduje się gmach komendy obwodowej



Szlakiem bojowym Legionów: Fragment z walki na wschodnim froncie.

ręką ujął w ręce rządy miasta. Nowy komendant dał się poznać jako człowiek dobrego serca i sprawiedliwy, ale stanowczy w działaniu. Zarządził natychmiast wybory reprezentacyi miejskiej.

Z radnych utworzono komisyę podatkową, mięsną, szpitalną, mączną, rewizyjną i szkolną. W ostatnim czasie utworzoną została komisya sanitarna, która stale rewiduje miasto, podzielone na rewiry. Staraniem władz i dzięki życzliwości komendanta, pułkownika Urbańskiego, miasto otrzymuje zapomogi na zasilanie kasy miejscowych instytucyi humanitarnych, oraz pomoc w naturze, jak cukier i mąkę dla herbaciarni ludowej. Na wielkie uznanie zasługują zwłaszcza energiczne zarządzenia w sprawach zdrowotnych.



Z okupacyi austro-węgierskiej na Wołyniu: Komendant okręgowy, pułk. Urbański, w swej kancelaryi w Łucku.



Wojna w Polsce: Rynek w Podhajcach.



Wojna w Polsce: Rynek w Sołotwinie

JÓZEF LASOŃ.

BEZDOMNI.

(Z cyklu: WOJNA NA WOŁYNIU.)

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

1

Skrzyło się gwiazd tysiące na niebie, tarczę pełni księżyca otaczając, jakby z dyamentów cudnych naszyjnik, mieniący się w blaskach promięni słonecznych. Z odległych moczarzysk i torfowisk, gęstą trzciną i sitowiem porosłych, dochodził szum wiatrem kołysanych trzcin i giętkich łodyg zielska, wązkich, długich, jak krzywe kindżały tureckie, bezkrwistych lilij wodnych i wszelakiego rodzaju sitowia. Po lśniącej tafli bagniska, księżyca odblaski prze suwały się, muskały je delikatnie, jakbo pragnęły zajrzeć w otchłań mułu i gęsto kleistej kałuży policzyć ciała wciągnięte w otchłań bajora, zajrzeć w twarze śmiercią pogodzonych przeciwników, wyczytać ostatnią ich myśl i pragnienie i pragnieniu ich uczynić zadość: nocną porą zanieść w promieniach swoich bliskim sercu jego sen o myśli zabitego.

Wśród zdradnych moczarzysk wioska się rozsiadła, urągając istnieniem swem wołyńskim wiecznie wodnistym bajorom. Chat kilka, z grubych nieociosanych belek zbitych, pokrytych słomianą strzechą, z biegiem lat coraz głębiej zapadających się w rozmiękłą glebę. Pochyliły się niektóre z nich, pokrzywiły, jakby za chwilę runąć miały pod ciężarem belek i desek i na długie lata zniknąć z powierzchni ziemi.

Droga pomiędzy chatami biegła, ręką ludzką wzniesiona, z żółtego piachu usypana i krzemieniem wyłożona, jednym końcem biegnąca w szumiący bór, z drugiej zaś strony ginąca w śniącej otchłani bajora. Dzieckiem trzebaby być i od szeregu lat wśród tych moczarzysk się chować, aby poznać te wszystkie tajemne przejścia i wąziutkie ścieżki biegnące pośród torfowisk. Jeden fałszywy ruch, jedno złe postąpienie nogą przed siebie — zgubą się staje dla nieostrożnego człowieka, któryby ośmielił się szukać tamtędy przejścia lub drogi. Scieżki te, tajemnica moczarzysk, czyhały tu na każdego „obcego przybłędę“, który od dziecka nie był im znany i rzekłbym mściły się za śledzenie i podpatrywanie ukrytych ich skarbów — krętych, wijących się ścieżek i dróżek. Każdą stopę torfowiska, każdą grobelkę mułu przez długi czas należałoby poznawać, w przymierze wejść i potem dopiero puszczać się na dalekie wędrówki. Nocą błędne ogniki, zdala jak światełka chłopskich chat świecąc, strudzonych ludzi wabią ku sobie, zdradliwie światełkiem swoim zachęcają do drogi, w otchłań usiłują wciągnąć...

Tuż przy drodze, na krańcu lasu stał pałac z kamiennych ciosów wzniesiony, wojewody polskiego z XVII wieku, pałac hrabiego Leuóchowskiego.

Otrzymawszy spuściznę po ojcach, głuchy, ponury i od wieków niezamieszkały zamek, hrabia raźno zabrał się do odbudowy i restauracyi zamku. Niedługo też, na dawnych ruinach, powstał pałac, wznosząc się w górę ponad szumiące lipy.

Stare wały obronne zastąpiono żelazną palisadą, misternie sploną w wijący się dokoła bluszcz, most zwodzony usunięto, a na podwórzu dziedzińca powstały nowoczesne spichlerze i stodoły, miast kusz i armat potwornych, machiny rolnicze pry dawnych wałach obronnych stały. Zanikły rycerskie ślady zamku, a zastąpiły je machiny przemysłu i rolnictwa.

W wspaniałych salach natomiast, pamiątki przeszłych czasów rycerskich znać było na każdym kroku. Więc zbrojownia — gdzie wszelkiego rodzaju broń przodków na ścianach porozwieszana była, portrety dawnych panów i władców tego zamku, meble i obrazy słowem — wnętrze pałacu nie uległo przemianie czasu i ludzi.

Zamkowy zegar wydzwonił już północ, dalekiem echem unosząc spiżowy stuk metalu wydzwaniającego godziny, gdy na drodze zadudniły kopyta końskie, dziwnie i hałaśliwie przerywając cichy spokój nocy jesiennej. Jeźdźcy w szybkim galopie zbliżyli się pod bramę zamku i raptownie dobijać się poczęli do bramy. Zbudzone psy zawyły przeraźliwie i ujadając groźnie, rzuciły się na nocnych gości, chcąc uchwycić śmiałków zębami

Kozacka patrol zeskoczyła z koni i kolbami karabinów coraz bardziej poczęła tłuc w bramę. Już i gromkie słowa przekleństwa poczęli wyrzucać z ochrypłych gardeł, gdy zabłysły światła w oknach pałacu i po chwili postać jakaś, z latarką w ręku pękiem kluczy, zbliżać się poczęła ku nim.

— Otwierać! — krzyknął po rosyjsku podoficer prowadzący patrol.

— Kto tam? wylękły klucznyzapytał.

— Wojsko! Kwatera!

— Zaraz, zaraz, muszę zawiadomić pana rządcę, sam nie mogę tego uczynić!

Dzikie słowa przekleństwa wyrwały się z ust żołnierzy i w odpowiedzi zabrzmiały echa wystrzałów karabinowych, skierowane do ujadających psów. Klucznny przypadł ze strachu na ziemię i zgasiwszy latarkę, czołgać się począł ku zabudowaniom dworskim. Dostrzegli go rozwścieczeni żołnierze i wymyślając poczęli strzelać, chcąc go nastraszyć i zmusić do szybkiego wykonania rozkazu.

Klucznny, trzęsąc się ze strachu, wbiegł szybko do pałacu, aby donieść rządcy, Frankowi, o rozkazie kozaków. Jednakże wystrzały pobudziły już wszystkich i światła coraz gęściej błyszczeć poczęły w oknach. We drzwiach mieszkania rządcy, klucznny natknął się Franka, któremu bezładnie począł opowiadać:

— Panie rządco! Kozacy strzelają! Chcą kwatery! Psy zastrzelone! Pewnie będzie tu rabunek i gwałt! Nie chciałem im otwierać — nie mając rozkazu pańskiego.

— Trzeba było im otworzyć zaraz, ośle jakiś! — przerwał mu ostro Frank. – To wojna jest, wojsko ma wszędzie prawo. Chcieli, byś otwierał, czemuś nie otworzył?

— Ja chciałem się przedtem pana zapytać! — usprawiedliwiał się klucznny.

Frank wyrwał raptownie pęk kluczy i podbiegł do bramy, odpędzając ujadających psów. Światła latarek zbudzonej służby dworskiej migać się poczęły po podwórzu. Kobiety na pół ubrane z okien domostw ciekawie wystawiały głowy.

Wreszcie odsunięto żelazne rygle, kozacy, pieniąc się ze złości, krzyczeć poczęli na rządcę.

— Kwatera dla wojska i dla sztabu ma tu być! — ostrym, komenderującym głosem krzyknął wkońcu podoficer.

Niechętnie skrzywił ustami Frank, wzruszył ramionami, namyślając się przez chwilę.

— Oprowadzić nas, wybierzemy miejsce dla sztabu i żołnierzy.

— Zaraz pójdę hrabiego zawiadomić — zwrócił się rządca do żołnierzy — ja sam nie mogę rozporządzać i umieszczać ludzi. Niech panowie poczekają chwilę, zaraz udam się do hrabiego.

— No idź, ale przedtem dawaj jeść i pić — odezwali się chórem.

Konie odprowadzono do stajni, żołnierze udali się za Frankiem do jego mieszkania, gdzie, jak starzy i dobrzy znajomi, rozgaszczać się poczęli, wyciągając ze spiżarki, cokolwiek im wpadło w ręce. Próżno gospodyni ocalić pragnęła choć jakąś część zapasów prowiantowych. Smiejąc się rubasznie, stół i krzesła dostawili do spiżarek i zgłodniałe żołądki napełniać poczęli jadłem i napojem. Zona Franka, widząc bezskuteczność swoich próśb i protestowania, udała się wraz z dziećmi do dalszego pokoju, zostawiając część mieszkania, jak również i kuchnię na łaskę rozbawionego żołnierstwa.

Niezwykły hałas i krzyki przebudziły również i hrabiego i, gdy Frank wszedł do pokoju, zastał go już kompletnie ubranego i zmierzającego do wyjścia.

— Ach, panie Frank! Cóż się tam dzieje na dole? Strzelanina jakaś? Czyżby linia bojowa znowu się do nas przesunęła?

— Nie wiem, panie hrabio. Przybyła patrol rosyjska, żądają kwater.

— Kwater, dla kogo?

— Sztab w pałacu ma być umieszczony, żołnierze, pono coś dwa pułki, w zabudowaniach dworskich.

— Co, co pan mówi? Gdzież ja ich pomieszczę? Toż mi zrujnują cały zamek.

— Sądzę, że sztab tutaj będzie, zatem i łatwiej utrzymać porządek i ochronić od zniszczenia.

— Sztab, sztab — z ironią zauważył hrabia. — Wszak byłeś pan zeszłego roku, to wiesz, co się tutaj działo. Zajmą wszystkie pokoje oficerowie i rozpoczną się noce pijatyk i balów, zjedzie mi na kark cała zgraja półświatka i wszystkich żywić trzeba będzie, a z pewnością resztę rzeczy, które ocaliłem, zabiorą. A żołnierze! Toż ruina dla mnie, istna ruina!

— Sądzę, panie hrabio. żeby sprzęty usunąć z sal i pokoi dworskich, najlepiej byłoby umieścić w piwnicach, pozostawić natomiast tylko konieczne niezbędne rzeczy. Tak samo i z narzędziami rolniczemi. Część żołnierzy umieści się w budynkach dworskich, resztę w stodołach.

— Tak, tak — potakiwał hrabia. — Nie dość, że liche, wyniszczone tegoroczne zbiory, toż jeszcze i cała praca musi stanąć, znieruchomieć. Ach, panie Frank, mnie już głowa pęka z tego wszystkiego. Ale — dodał po chwili — czyś pan pewny, że oni na prawdę jako kwatermistrze przyjechali. Może tylko tak okazyą wpadli, no i rzecz prosta, pragną się tylko zabawić, dla pozoru zaś przyjechali zamawiać kwatery.

— Nie wiem, panie hrabio — rzekł rządca, schylając głowę.

— Niech pan poprosi do mnie podoficera, który przyjechał z tą patrolą, będę się starał sam go wybadać, może uda mi się jakoś go przerobić.

Rządca, skłoniwszy się jeszcze raz wyszedł, hrabia tymczasem, niecierpliwiąc się, spacerował po pokoju. Na zadumanej twarzy rysowała sie gorycz i zmartwienie. Spojrzał na zegarek, poczem podszedł ku oknu. Przebudzona służba dworska rozpierzchła się po podwórzu, grupkami przystając. Żywo opowiadać sobie poczęli swoje spostrzeżenia, gestykulując przytem rękami. Wiedzieli oni już, co znaczy mieć na kwaterze wojsko, więc trwoga bliskiego terenu wojny wielce ich niepokoiła. Wprawdzie linia boju poprzednio nie oparła się na tej okolicy, jednakże tysiące żołnierzy rosyjskich przesunęło się tędy przez krótki stosunkowo czas, poznali już zatem gospodarkę rosyjską. Fakt przyjazdu patroli i zapowiedzianego kwaterunku wielce ich zaniepokoił, nic też dziwnego, że wyprowadziło ich to z równowagi i spokoju.

Hrabia bacznie obserwował rozmawiającą gromadę, jakby wyczuć chciał z ich ruchów, przy świetle latarek widocznych, który z nich w ciężkiej godzinie życia zamierza go porzucić i niewdzięcznością zapłacić za długi okres pracy i wspólnego pożycia.

Rozważał w duszy wartość każdego z podwładnych i sortował ich wedle opinii własnych spostrzeżeń. Byli to w przeważnej części Rusini, na których absolutnie liczyć nie mógł, a którzy przy pierwszej lepszej sposobności gotowi się byli przeciw niemu zwrócić, mimo, że jednako ich traktował, byle tylko obowiązki swe sumiennie wykonywali.

Frank po rozmowie z hrabią natychmiast udał się do żołnierzy, którzy już na dobre uraczyli się zawartością spiżarki. Natknął się już we drzwiach na szkło z rozbitych butelek, solennie wypróżnionych przez nieproszonych gości i, rzecz prosta, wypróżniona butelka musiała uledz swojemu losowi niepotrzebnego i zawadzającego grata na stole biesiadników. Przywitały go szydercze głosy, dowcipy na temat kiepskiej spiżarki, mdłych likierów i przyprawianych wódek. Jeden z żołnierzy wyciągnął z plecaka flaszkę spirytusu, która krążyć poczęła z ust do ust, wreszcie podano ją Frankowi, przymuszając do picia. Ze wstrętem przytknął oblizaną szyjkę flaszki do ust, wpuszczając do gardła kilka kropel palącego, jak płomień, płynu.

— Tyś nie stworzony na żołnierza — zaśmiał się podający mu flaszkę. — Ot, popatrz, jak należy pić! — To mówiąc przytknął flaszkę do ust i prawie połowę wychylił duszkiem.

Słowa uznania ze strony kolegów gradem sypnęły się na chwiejącego się na nogach żołnierza i dalsza zachęta do ponowienia takiejże sceny.

— Pozwolicie panowie — wtrącił Frank, widząc, że żołnierze coraz weselej zaczynają się zabawiać — że przedtem załatwimy sprawę kwatery, a pan hrabia, uwiadomiony już przezemnie, czeka na panów.

— Co, kwaterę — przerwano rządcy — toż już załatwione. — Sztab i oficerowie w zamku, a my tutaj. Ot, lepiej gadaj brat, gdzie tu pohulać można. Nu, gadaj, gdzie tu dziewczyna jaka? Ta, sztab rano dopiero przyjedzie, a do rana, ho, ho, to wielki czas zabawić się i pohulać. Nu, gadaj brat.

— Ale pan hrabia czeka!

— Co tam hrabia! Czort go niech weźmie! Tu jest hrabia — to mówiąc wskazał na podoficera — Ot widzisz, to nasz komendant, toż on teraz hrabia, ale nie ten twój!

— Wobec tego, zawiadomię pana...

— Ta, gdzie — przerwał mu brutalnie żołnierz, przytrzymując zmierzającego do drzwi rządcę — Tu zostaniesz, ty nam potrzebny. Tam w piwnicach tego twojego hrabiego wódka jest? He? Ty nam ją przyniesiesz.

— Ja muszę hrabiego zawiadomić!

— A ja ci mówię, że tu musisz zostać! — krzyknął na niego groźnie żołnierz, gwałtem usadawiając go na krześle.

— Ty z nami nie igraj — upomniał go drugi — bo my ci pokażemy.

W milczeniu usiadł przy stole, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu i podaną szklankę wódki podniósł do ust. Przysłuchiwał się uważnie poplątanej rozmowie żołnierzy, wnosząc z usłyszanych urywanych zdań i słów, że teren wojny przybliża się w stronę ich okolicy, że zatem wojska rosyjskie cofają się i ścigane są przez armię nieprzyjacielską. Kilkakrotnie zmierzał ku drzwiom, ale czujny wzrok

żołnierzy, którzy baczną na niego zwracali uwagę, nie pozwolił mu na wymknięcie się z ich towarzystwa.

Któryś z żołnierzy zaproponował grę w karty. Pochwycono myśl tę ochotnie, zrzucając ze stołu zawadzające szklanki i naczynia. Zastawę stołową potłuczoną w drobne kawałki rzucono w kąt pokoju, poczem zasiedli do gry w karty, klnąc i wymyślając sobie wzajem.

— Może wódki przynieść jeszcze? — zwrócił się z zapytaniem Frank, planując tym sposobem urzeczywistnić zamiar wydostania się z tego rozbawionego grona.

— Przynieś, przynieś! — odpowiedziały mu głosy żołnierskie, upominając jednakże do szybkiego powrotu, w przeciwnym razie zapowiadali wyszukanie go i sprawienie egzekucyi.

Frank, wyrwawszy się od nich, pospieszył natychmiast do hrabiego, który go przyjął z wyrzutami za długie czekanie.

— Nie mogłem, panie hrabio, przybyć prędzej! — usprawiedliwiał się rządca, opowiadając w krótkich słowach o gospodarce przybyłych żołnierzy.

Hrabia oburzył się i chciał natychmiast iść do nich i zgromić, a w każdym razie powiedzieć, że po przyjeździe sztabu pójdzie ze skargą do komendanta. Powstrzymał hrabiego od tego zamiaru Frank, tłómacząc bezskuteczność upominania, które pobudziłoby ich tylko do większych awantur i hulanki.

— Ze słów ich — Frank począł opowiadać — wydaje mi się, że linia boju przenosi się w naszą okolicę i radziłbym przygotować się, cenniejsze rzeczy wywieźć, usunąć ze zamku.

— Wywieźć, usunąć! — gorzko przerwał hrabia — Czy pan sądzi, że to pudełko podróżne lub waliza, którą się da zabrać na wóz i wywieźć. A zresztą gdzie? Do Warszawy droga odcięta, linia boju przeszkadza. Chyba wgłąb Rosyi, a to mi się najzupełniej nie uśmiecha.

— Mamy, panie hrabio, sześćdziesiąt par koni do dyspozycyi, tyleż furgonów, cenniejsze rzeczy dałoby się przecież usunąć!

— Ale gdzie ja z tem pojadę?

Frank umilkł, przyznając racyę wywodom hrabiego. Uciekać z rzeczami, arcydziełami sztuki wszelkiego rodzaju, wśród tysiąca żołnierstwa, na nieznaną tułaczkę, byłoby nietylko bezcelowem, ale mogłoby się przyczynić tylko do zupełnej utraty tych zabytków.

— Bo proszę pana, panie Frank, chcąc wreszcie wedle rady pańskiej postąpić — musiałbym cały zamek wywieźć. Wszak jednakowo dla mnie, jako pamiątka przodków, jest drogą czy to zbroja żelazna ojców, czy portrety, czy wreszcie staroświeckie meble. Więc mimo zapewnienia, że pozostało nam tyle i tyle koni, któż mi zaręczy za ludzi. Chyba i pan poznał do gruntu tutejszego chłopa, Rusina. Nie uważa się on za brata naszego, nic też dziwnego, że z głębi duszy nienawidzi nas i z pewnością ostrze swoich pazurów przy pierwszej lepszej sposobności przeciw nam zwróci, a własność cudza wśród takich ciemnych, biednych ludzi przedstawia zachętę do skorzystania z okazyi.

Frank przyznał racyę słowom hrabiego i chciał odejść, gdyż zamierzał polecenie żołnierzy wykonać.

— Nie, panie rządco — stanowczo oparł się temu hrabia — ani kropli wódki, ponadto co wypili, nie da im się. Pan uda się do służby, zbudzi ją, następnie cenniejsze rzeczy poznosi się do piwnic zamkowych.

— W każdym razie muszę zajrzeć do domu — mruknął pod nosem Frank — kobiety i dzieci pewnie przelęknione, zamknęły się w pokoju, muszę je uspokoić i z sąsiedztwa żołnierzy wyprowadzić.

Doszedłszy pod okna domu ostrożnie, spojrzał do pokoju, gdzie rozgościli się żołnierze. Przyćmione światło kopcącej lampy tworzyło rodzaj półmroku w pokoju, od którego dziwnie się odbijały zarośnięte twarze żołnierskie, z błyszczącemi oczami, utkwionemi badawczo w rozdawane karty. Kupki miedziaków, srebrnych monet i banknotów papierowych, wraz z okrzykami radości, to znów przekleństwa, przechodziły od jednego do drugiego, wśród gwałtownej od czasu do czasu sprzeczki i energicznej gestykulacyi rąk.

— Zapomnieli o wódce i o mnie — szepnął z zadowoleniem Frank, podchodząc do okna, gdzie, jak przypuszczał, ukryła się jego rodzina. Niedawno była w tym pokoju, zapukał więc delikatnie w okno, wywołując imiona żony i dzieci. Po chwili zabłysło światło, a z za okna ukazała się przelękła twarz żony.

— Ach to ty! — odetchnęła z ulgą — zostawiłeś mnie tutaj, a ja ledwiem żywa z przerażenia.

— No, uspokój się, musiałem z hrabią załatwić — a teraz otwórz okno. Nie mogę wejść przez kuchnię, gości tam mamy, którzyby mnie znów zatrzymali.

Kobieta otworzyła okno, przez które przeszedł Frank, uspakajając przerażone dzieci i żonę.

— Nie macie się znowu czego tak obawiać — dodał wkońcu — przecież niema mowy o jakichkolwiek nadużyciach z ich strony, tem bardziej, że lada chwila sztab tu ma przyjechać. Ze spiżarkę zniszczyli, trudno, a krzyki i hałasy nie szkodzą znowu nikomu tak dalece.

— Ależ, mężu! — oburzyła się Frankowa — toż przecie pijani, a ja pijanych ludzi się boję, tem bardziej żołnierzy. Ich krzyki i hałasy przeraziły dzieci do najwyższego stopnia.

— Więc cóż mam poradzić?

— W każdym razie nie pozwolić tutaj w naszem mieszkaniu na podobne awantury. Cała zastawa stołowa poszła w gruzy — słyszałam, jak ją rozbijali. Niedługo zaczną wywalać drzwi w pokojach i niszczyć meble, a kto wie, czy im nie wpadnie jaki figiel do głowy...

— E... moja kochana — przerwał łagodnie Frank — zdenerwowałaś się i dlatego snują ci się w głowie niemożliwe wprost rzeczy. Wszak to także ludzie i to ludzie, którzy każdej chwili gotowi życie postradać, w niewygodzie, chłodzie żyć, nic przeto dziwnego, że korzystając ze sposobności, wynagradzają sobie wszelkie trudy i braki wojenne.

Wreszcie udało mu się zupełnie uspokoić żonę, która ułożyła dzieci do spoczynku, poczem udał się służbę dworską zebrać i do życzenia hrabiego zastosować.

Chłopi nie spali już, większa część z nich zebrała się w kuchni i także wspólnie poczęła radzić. Na widok wchodzącego rządcy ucichli nagle, przerywając dysputę. Frank spojrzał na chłopstwo, zmieszane energicznem jego wstąpieniem pośród gromady, odchrząknął kilkakrotnie, poczem przemówił silnym, męskim głosem:

— Zbudzić mi śpiących i natychmiast do zamku na górę, tam w wielkiej poczekalni stawcie się, hrabia ma do was interes.

Kilku z nich skłoniło się nizko przed rządcą, udając się w myśl danego rozkazu pobudzić parobków, reszta skupiła się koło Franka, słuchając planu pracy, do której należało się zabrać natychmiast.

— My ta myślemy — odezwał się stary, siwy chłop do rządcy — że ta niema tu co robić, kiejby tu był bój. Gospodarstwa swego nie mamy, a na co nam cierpieć niepotrzebnie. Lepiej odrazu się oddalić.

— E, niema znowu tak nagłej potrzeby — sprzeciwił się młody parobczak — jeszcze tutaj niema nic, czegoby mieli uciekać.

— Jakto! — przerwał oburzony Frank — Chcecie opuszczać hrabiego w chwili, kiedy będzie was potrzebował?

— My ta go na razie nie opuszczamy — zauważył inny, ironicznie się uśmiechając — ale jak będzie trzeba, to trudno. Sołdaty mówili nam, że za parę dni będzie tu bitwa, bo nasze wojska w tę stronę idą, toć i, panie rządco, nie będzie co tu robić. Pan hrabia mają pieniądze, to mogą robić, co im się żywnie spodoba, a my ta musiemy się chronić, bo po próżnicy niema się na co i za co narażać.

— Dobrze, dobrze! — Frank rozgoryczony krzyknął — obejdzie się hrabia bez was i teraz i później. Zresztą niema nic pewnego, że tu bitwa będzie. To, co wam mówili sołdaty, toć tyle akurat wiedzą, co i wy, a nastraszyć was ino chcieli.

— Ano, będziewa widzieli — odparła gromada na dalsze tłumaczenie rządcy.

II.

Pod wieczór następnego dnia zapowiedziany sztab i wojsko przybyło na kwatery do zamku. Zaroiło się od piaskowych szyneli i mundurów. Krzyki i hałasy napełniły cały zamek. Oficerowie ulokowali się po całym zamku, roztwierając na roścież komnaty, skąd nie zdołano wynieść ni sprzętów, ni portretów przodków i wartościowych płócien pierwszorzędnych malarzy.

Na gwałt urządzać poczęto przeróżne komendy wojskowe. Cichy, spokojny zamek ożył pod stukiem butów i brzeku ostróg i szabel. Żołnierstwo rozproszone po zabudowaniach dworskich. słowem, zamek przeistoczył się w obronną jakąś twierdzę, pełną żołnierskiego życia i gwaru.

Hrabia bezustannie wraz z Frankiem pilnował zamku, wnosząc zażalenia na wszystkie strony, jednakże rzadko się trafiało, aby odkryć winowajcę. Wprawdzie karano srogo winnych, przychwyconych na uczynku, nie odstraszało to jednak sołdatów od niszczenia i rabowania na każdym kroku.

Wszystek drób padł ofiarą wygłodzonych żołądków. Napróżno kobiety usiłowały ukrywać, sprytna ręka żołnierska w niewidzialny sposób potrafiła zawsze pochwycić kurę, czy też gęś i tylko rozprószone po podwórzu pierze świadczyło o daremnem, dalszem poszukiwaniu.

Parę dni przeszło na pozór spokojnie, gorączkowa praca wrzała po biurach wojskowych, na wszystkie strony konni ordynansi rozjeżdżali się i przybywali z raportami.

Cichą nocą dochodzić począł początkowo głuchy, później coraz groźniejszy pomruk armat — widocznem było, że linia bojowa z niedalekiej strony niedługo tutaj przenieść się zamierza. Próbował hrabia zasięgnąć języka, rozmawiając z oficerami, jednakże prócz uspakajających słów nic więcej dowiedzieć się nie mógł. Przyznawali wprawdzie, że chwilowy odwrót ze względów strategicznych obecnie trwa, ale lada chwila przejdą do ofenzywy, aby zupełnie rozbić nieprzyjacielską armię.

Mimo zapewnień o ustawicznych zwycięstwach i już przedsięwziętej ofenzywie, huk armat stawał się coraz głośniejszy, miny oficerów coraz więcej przygnębione i rozgorączkowane. Wielkie transporty rannych, chwilowo zatrzymywane, świadczyły o zaciętej walce i wielkich stratach rosyjskich. Coraz większe zamięszanie poczęło się wkradać w szeregi żołnierskie, samowola ich występowała na każdym kroku. Nie oponował już hrabia na występki sołdatów, wiedząc z doświadczenia, nabytego przez parę dni, że one do skutku żadnego nie doprowadzą, tem bardziej w chwili, w której wyczuć można było poniesioną klęskę i tem samem rozluźnione więzy dyscyplinarne.

Służba rozprószyła się po okolicy, pozostała tylko część starych bywalców, czuwając nad dobytkiem, praca gospodarcza stanęła na dobre. Niewymłócone snopki zboża zużytkowane zostały dla wojska i koni, gotowe zapasy zarekwirowano.

Frank kilkakrotnie próbował namówić hrabiego do opuszczenia zamku, jednakże bezskutecznie.

— Proszę pana, dokąd się da, zostaniemy — odpowiedział hrabia na energiczne nacieranie ze strony rządcy — nie mogę ojcowizny rzucić na łup wojny, tem bardziej, że niema jeszcze naglącej, koniecznej potrzeby.

— Dziwne jakieś zamieszanie daje się dzisiaj czuć wśród oficerów i żołnierzy — zauważył Frank po chwili — strzały armatnie coraz głośniej słychać, większe transporty rannych prowadzono. Zdaje mi się, że sztab nosi się z zamiarem opuszczenia nas.

W tejże chwili ordynans pułkownika zbliżył się ku nim i salutując przemówił:

— Pan pułkownik prosi pana hrabiego do siebie!

— Gdzie?

— Do kancelaryi pułku.

— Pan jest Polakiem? — zwrócił się Frank do ordynansa, słysząc go rozmawiającego z hrabią po polsku.

— A tak, z warszawskiej gubernii! — odpowiedział tenże, zapalając papierosa.

— No i co słychać? — spytał po krótkiem milczeniu Frank.

Żołnierz spojrzał badawczo w twarz rządcy, przewiercił go nawskroś oczyma, dotrzeć pragnąc do wnętrza duszy, wysondować, co ma określić to pytanie. Słowa te wydarły się z ust Franka, jak pytanie rozbitka, zwrócone do majtka, wypatrującego lądu ziemi — nadziei ocalenia z otchłani niepewności chwili i jutra. Zawahał się żołnierz przez chwilę, wreszcie wykrztusił przez zaciśnięte zęby:

— No, nic!

Tak samo wypowiada bezdźwięcznie, głucho człek zrezygnowany z życia, wiedzący, że za chwilę życie jego przestanie istnieć i niema dla niego ni ratunku, ni pomocy.

To „nic“ brzmiało, jakby niechętna odpowiedź na pytanie, które krwawić poczyna nieco zabliźnione rany, lub z bezmyślnej zadumy wyrywa i przypomina obecny los i położenie.

— Cóż wojna? — przerwał wreszcie Frank. — Zdaje się, że niedaleko jest linia i będzie?...

— A tak! — zaciągając się dymem papierosa, żołnierz odparł. — Przygotowani jesteśmy na odwrót i w tej sprawie hrabia zawezwany został do pułkownika.

— Tak przypuszczałem!

— Powiem panu pod sekretem — szepnął do ucha Frankowi — byście, co tylko można, z domu wywieźli, gdyż to wszystko — zaznaczył szerokim giestem — w razie odwrotu pójdzie w gruzy. Taki rozkaz dla żołnierzy przyszedł, zatem lepiej zawczasu być przygotowanym.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wojna w Polsce: Rynek w Krzeszowie (Królestwo Pol.) (Fot. M. Gottman).



Na wschodnim froncie: Kotły izolowane, dowożące menaż na linię bojową.

Wojna w Polsce.

W poprzednich numerach „Nowości Illustrowanych" zamieściliśmy już pod powyższym tytułem szereg zdjęć, wymownie illustrujących żniwo wojenne na ziemiach polskich. Przed oczami Czytelników przesunęły się setki poburzonych budynków, kościołów, wsi i miast, przez które przeszedł huragan wojenny. Te zgliszcza i ruiny mówią nam przedewszystkiem o cierpieniach ludności, wyrzuconej ze swych zburzonych siedzib i skazanej na tułaczkę. Należy jednak także zwrócić uwagę na niepowetowane straty, jakie poniosła kultura i sztuka polska, która w tym pożarze wojennym straciła wiele cennych pamiątek i zabytków. Sprawę tę omawiano na posiedzeniu komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, które odbyło się niedawno pod przewodnictwem dra St. Tomkowicza. Na posiedzeniu tem dr. Tadeusz Szydłowski w referacie pod tytułem „Straty zabytkowe w Królestwie Polskiem" przedstawił obraz szkód, jakie w dziedzinie pomników sztuki wyrządziła wojna w części Królestwa Polskiego, będącej dziś pod zarządem austryackim. — Z okruchów i resztek tego okresu sztuki, dość jeszcze licznie po Polsce rozsianych, dotknęła wojna pocysterski kościół w Koprzywnicy: pociski wyrwały duży wyłom w romańskiem sklepieniu nawy poprzecznej, a pożar, niszcząc dachy, nadwątlił górne partye ścian. Kościoły po-cysterskie w Sulejowie i Wąchocku, romańskie kościółki w Wysocicach, Prandocinie i kościół św. Jakóba w Sandomierzu są nieuszkodzone, a dotknięta tylko nieznacznie piękna romańska świątynia w Kościelcu. Najdotkliwszą szkodę w dziedzinie pomników sztuki romańskiej wyrządził Polsce rząd rosyjski, rozbierając jeszcze na dwa lata przed wojną resztki cysterskiego kapitularza w Jędrzejowie.



Szlakiem bojowym Legionów: W okopach. Siedzą: 1) chor. Thomson, 2) kap. Dziekanowski, 3) dr. Wertheim, Stoją: 4) chor. Minkowski, 5) podp. Grabowski, 6) por. (Saan) Machowicz, 7) chor. Goldmann.

Z ceglanych budowli franciszkańskich, które powstają w Polsce około połowy XIII wieku, doznał uszkodzeń kościół i poklasztorny budynek w Zawichoście. Z okresu bujnego rozkwitu gotyku w Polsce, który przypada na czasy Łokietka i Kazimierza Wielkiego, legł prawie w gruzach jeden z najcenniejszych zabytków budownictwa w Polsce, dwunawowy kościół w Wiślicy. Od pocisków artyleryi runęło przepiękne sklepienie nawy wraz z trzema smukłemi kolumnami. Z całego wewnętrznego urządzenia zostały tylko okruchy, ocalała jednak „Madonna Łokietkowa", drobne rzeźby z epoki romańskiej i gotyckiej, figuralna tablica erekcyjna oraz kilka renesansowych nagrobków. Sciany kościoła, mimo znacznych wyłomów i rys, stoją jeszcze, lecz wobec zniszczenia dachów wymagają rychłego zabezpieczenia. Dzwonnica wiślicka, podobnie jak i plebania, stawiane przez Długosza, doznały również znaczniejszych uszkodzeń.

Z szeregu gotyckich świątyń, wzniesionych w XV wieku, wymienić należy kościoły w Szydłowcu, Siennie, Iłży (szpitalny kościółek św. Ducha), Fałkowie i Klwowie, z których każdy w mniejszym lub większym stopniu, został nadwyrężony pociskami artyleryi. Na terenie Królestwa, objętym dziś przez zarząd niemiecki, znaczną szkodą zabytkową z tej epoki jest zniszczenie bardzo oryginalnego, warownego kościoła w Brochowie.

Z kościołów późno-gotyckich wznoszonych jeszcze w połowie XVI. wieku, doznał uszkodzeń kościół w Proszowicach. Wystawiony w roku 1537 kościół w Janowcu, na którym już można poznać, jak pod wpływem renesansu zmienia się styl budowli kościelnych, stracił przez pożar dachy i hełm wieży wraz z dzwonami. Miasteczka Janowiec i Kaźmierz nad



„Krakowskie dzieci" w okopach: Wydawanie menaży.



Na wschodnim froncie: Laboratoryum fotograficzne w okopach.



W ogniu granatów: Odkopywanie żołnierza, zasypanego ziemią wskutek eksplozyi pocisku.

Wisłą podpalili Rosyanie przy odwrocie; w tem ostatniem ocalał rynek wraz z dwoma bardzo pięknymi domami z końca XVI. wieku, a także kościół farny i charakterystyczne spichlerze nad Wisłą; jednakże ofiarą pożaru padło kilka starych domów, a między nimi wnętrze pięknego domu przy ulicy Senatorskiej. W Szydłowcu wysadzono w powietrze wieżę renesansowego ratusza miejskiego.

Wśród dzieł architektury kościelnej, która w epoce baroku dochodzi znów do silnego rozkwitu, znaczną stratę stanowi zniszczenie okazałego po-dominikańskiego kościoła w Wysokiem Kole. W Jędrzejowie, którego kościół po-cysterski jest jednym z celniejszych przykładów polskiego baroku, spłonęły dachy i hełmy wież. Z pomiędzy uszkodzonych kościołów XVIII. wieku do wybitniejszych należy kościół w Sieciechowie. Wzniesony z końcem XVIII. wieku bardzo piękny kościół Swięto-krzyski na Łysicy został pozbawiony wieży przez wysadzenie. Kilka kościołów drewnianych n. p. w Ciepielowie, w Jarosławicach, uległo pożarowi. Większych miast: Kielc, Radomia i Lublina wojna nie dotknęła; również zbiory w tych miastach się znajdujące, pozostały na miejscu.

Lista szkód zabytkowych w Lubelskiem nie jest jeszcze zupełnie dokładna; wprawdzie ocalał w Puławach pałac, Swiątynia Sybilli i dom gotycki, lecz uszkodzono wiele budowli kościelnych, zniszczono i spalono wiele dworów, a ustępujące wojska rosyjskie wywiozły prawie wszystkie dzwony lubelskiej dyecezyi.

W ogniu granatów.

O niszczycielskiej sile pocisków artyleryi w obecnej wojnie dużo już pisano. Wszystkie jednak te opisy mogą dać tylko słabe pojęcie rzeczywistości. Wprost trudno wyobrazić sobie to piekło huraganowego ognia, jaki przez kilka dni szalał pod Verdun. Wszystkie relacye korespondentów brzmią jakby jakaś fantastyczna opowieść. A jednak i w takiem piekle rowy strzeleckie trzymają się całemi dniami. Okazuje się, że wraz z niszczycielską siłą pocisków, potrafiono tak udoskonalić okopy, że żołnierze ukryci głęboko w ziemi mogą przez jakiś czas i pod tym strasznym ogniem wytrwać na stanowisku. Jakie czyni on jednak spustoszenia, opisuje barwnie jeden z korespondentów na terenie francuskim. Pisze on między innemi:

Popołudniu przyłączył się do zwykłego syku i trzasku granatów polowych jakiś obcy dźwięk. Nie był to zwykły strzał. Zrazu zwolna rosnący

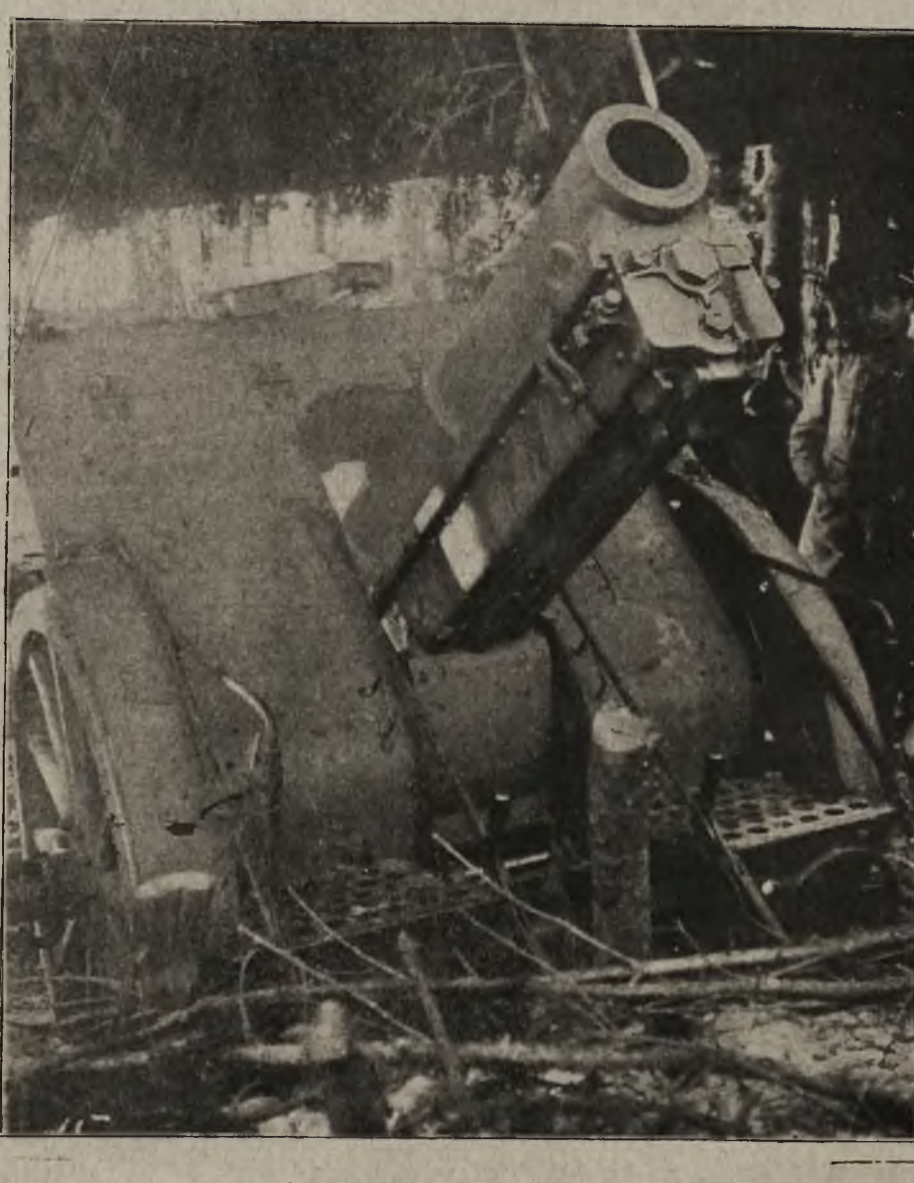


„Krakowskie dzieci" w okopach: Odpoczynek po pracy.

szum, czy huk, potem już nie ostry trzask, raczej głuchy grzmot, poprzedzony wstrząśnieniem, które wywołało chwianie się i drżenie murów w głębokich, sklepionych piwnicach, a w kamieniołomie, 25 m. pod ziemią, oderwało wielkie złomy skalne. Po kilku sekundach zaczął z wielkiej wysokości padać grad



„Krakowskie dzieci" w okopach: Na brzegu Seretu.



W ogniu granatów: 15 centymetrowa haubica gotowa do strzału.

kamieni, odłamków stalowych, brył ziemi, trzasek. Mimowoli spojrzeliśmy po sobie. Przez 13 miesiecy wojny przeżyło się już sporo ognia działowego, to była jednak „specyalna marka“, jak nazywają nasi żołnierze. Wyszliśmy obejrzeć wyrwę — w środku ubitej drogi wiejskiej głęboki lej o obwodzie czterech metrów, zaś głębokości trzech metrów. Po 10 minutach następny strzał. Mały, dobrze zachowany domek zamienia się w kupę gruzów: sklepiona piwnica przebita, czterech ludzi zasypanych. Blady, jak kreda, pyłem okryty sanitaryusz, który stał tuż obok domu zawiadamia o wypadku i natychmiast rozpoczyna się akcya ratunkowa; po długim czasie udaje się wydostać trzy trupy. Na wołanie odpowiada ktoś, poznają głos sierżanta. Zdołano otworzyć małe wgłębienie, w które jest wtłoczony. Mówi, że o ile się mu zdaje, nie jest raniony. Ludzie pracują na zmiany, pot spływa z twarzy. Jeden z nich już stoi w otworze, gdy nagle ktoś krzyczy: „Uciekaj, wali się!“ — Kilkanaście rąk chwyta i wyciąga ratującego, potężna masa gruzu spada — potem cisza. Ludzie patrzą na siebie ze zgrozą! Po godzinie wydobywają czwartego trupa“.

Często jednakże siła wybuchowa pocisków nie tylko niszczy wszystko w najbliższym promieniu, lecz zasypuje ziemią rowy, ziemianki i żołnierzy, znajdujących się na znacznej nawet odległości od miejsca wybuchu. Jedna z naszych fotografii przedstawia właśnie odkopywanie żołnierza, zasypanego wybuchem.



Na wschodnim froncie: Wywiadowcy



„Krakowskie dzieci“ w okopach: Odpoczynek „trzynastaków“.

Pożegnanie przełożonej szpitala.

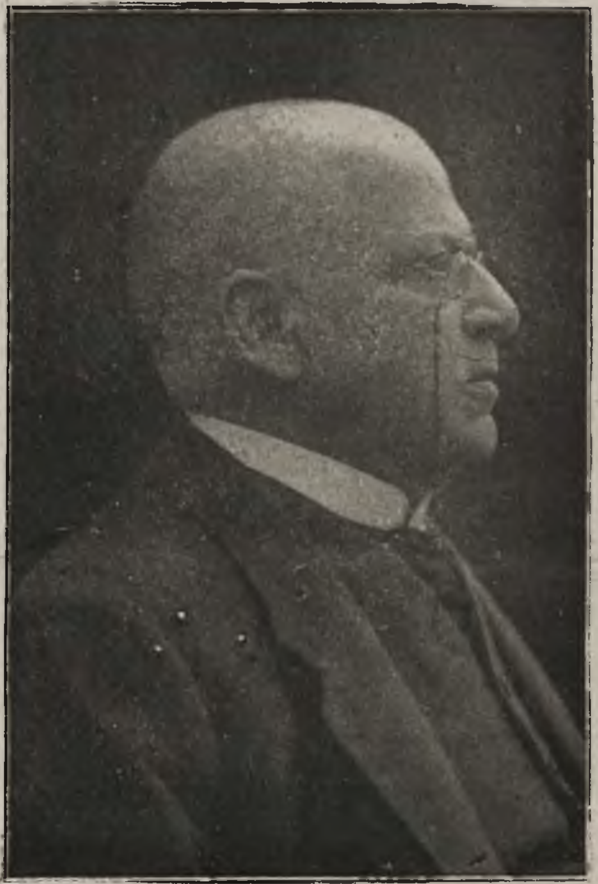
Ciężką i odpowiedzialną, ale zarazem i zaszczytną jest służba samarytańska, wiele też kobiet, ze wszystkich warstw naszego społeczeństwa, poświęciło się jej z zapałem i na tem polu położyły niespożyte zasługi, spiesząc zawsze z pomocą i pociechą tym, którzy narażali swe życie i zdrowie w obronie kraju i słusznej sprawy. Nagrodą za to poświęcenie jest uznanie ogółu, wdzięczność tych, dla których pracowały i wewnętrzne zadowolenie, iż wedle sił i możności, przyczyniły się i one do otarcia łez tysiącom nieszczęśliwych. Kiedyś, po latach wielu, wspomni o nich i historya, o tych cichych i zasłużonych pracownicach na niwie samarytańskiej.



Pożegnanie przełożonej szpitala: Personal lekarski i samarytański szpitala polowego 3/7 we Lwowie z komendantem p. Leichtmannem (1) i przełożoną p. Strańską (2) w pośrodku. (Fot. M. Münz, Lwów).



„Krakowskie dzieci" w okopach: Komendant kompanii wydaje rozkazy dowódcom plutónów.



Z żałobnej karty: Dr. Michał Landau.

Do ich szeregu należy także pani nadradczyni Strańska, przełożgna szpitala polowego 3/7 we Lwowie, która przez swą działalność humanitarną zyskała sobie ogólne uznanie i głęboką wdzięczność chorych i rannych, pozostających pod jej opieką. Dowodem tego było pożegnanie zasłużonej działaczki, które odbyło się we Lwowie w ubiegłym tygodniu. Wziął w niem udział cały zarząd szpitala z komendantem na czele, oraz zespól pielęgniarek.

Komendant, p. Leichtmann, podziękował ustępującej w gorących słowach za jej chlubną pracę około zorganizowania szpitala zaraz po odzyskaniu Lwowa i za późuiejszą działalność, poczem wręczył jej piękny upominek. W imieniu towarzyszek pracy przemówiła serdecznie jedna z pielęgniarek.

Uroczystość zakończyła wspólna fotografia.

Z żałobnej karty.

Przed kilku tygodniami zmarł w Krakowie dr. Michał Landau, adwokat nowotarski, przeżywszy lat 61.

Zmarły pochodził z Tarnopola, gdzie wychował się, gdzie spędził też wiek męski. Przez lat kilkanaście pracował w mieście ojczystem jako adwokat, zająwszy rychło wybitne miejsce wśród palestry tamtejszej jako obrońca, poszukiwany i w innych miastach wschodniej części kraju. Między innemi bronił w głośnym procesie młodzieży tarnopolskiej o tajne związki patryotyczne.

Dr. Michał Landau brał również niepośledni udział w życiu samorządnem Tarnopola: jako pierwszy asesor oddawał przez szereg lat usługi kresowemu grodowi podolskiemu. W całej działalności publicznej uważał się nietylko za mieszkańca kraju, ale za obywatela, pełniącego przedewszystkiem obowiązki i dopiero z tego tytułu — równouprawnionego; z tego powodu był ustawicznie prześladowany przez tych współwyznawców, którzy inną rolę wyznaczyli żydom w Polsce. Głównie na skutek tych ataków, w chwili zniecierpliwienia, postanowił przed kilku laty przenieść się na Podhale. W Zakopanem, które szczególniej ukochał, cieszył się wielkim szacunkiem i przyjaźnią prawdziwą wielu, którzy podziwiali w nim wyjątkowego żyda Polaka, wyjątkowego adwokata, pełniącego obowiązki tego zawodu uczciwie i szlachetnie.

Niezapomniane będą pisarskie zasługi dra Michała Landaua, jako publicysty, a zwłaszcza jako autora przekładów z literatury polskiej na język niemiecki. Tłumaczył w sposób mistrzowski utwory Tetmajera, Ujejskiego, Staffa, Łuskiny, Zielińskiego i innych.



Szlakiem bojowym Legionów: Legionista na straży. Przy drzewie budka z płótna chroniąca od deszczu i wiatru.



Najgroźniejszy przeciwnik na morzu: Łódź podwodna, widziana z pokładu austryackiego okrętu.



„Krakowskie dzieci" w okopach: Szarże 13 kompanii

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

37

— Ktoby się spodziewał, że ta panienka nam powróci! — rzekł służący, uradowany widocznie z przybycia niespodziewanych gości. Był to stary kamerdyner, człowiek, któ ego markiza darzyła zaufaniem. Wiedział on niejedno i od wyjazdu Andrzeja Delrue, z rozkazu pani de Kermor objął zarząd nad całym pałacem i służbą. Pierwszą jego czynnością było oddalić wszystkich niepewnych ludzi, narzuconych przez byłego sekretarza i grających tutaj rolę podstępnych szpiegów. Markiza z uśmiechem przyjęła słowo starego sługi, wdzięczna za okazywanie przywiązania dla swojej protegowanej.

W kilka chwil później Janina le Brenn, była robotnica, a dziś dziedziczka milionowego majątku, skromnie ubrana jak zawsze, wzruszona i nieśmiała wchodziła do buduaru pani de Kermor, w towarzystwie swojego wuja.

— Ah! Great Allan! — zawołała pani de Kermor, przyciskając do piersi młodą dziewczynę — jakże mam panu dziękować za przyprowadzenie mi tego dziecka! Tak się dręczyłam jej zniknięciem! Doprawdy, cudów pan dokazuje i to w tak krótkim czasie.

— Pani markizo! — zaprotestował Allan — cuda same przez się tworzą się. Bez względu na moje działanie rzeczy ułożyły się same w ten sposób, dzięki sympatycznej lekkomyślności małżonka pani. Oto co się zyskuje, jeżeli się ma do czynienia z ludźmi tak prostymi i źle wychowanymi, jak ja jestem.

— Wybaczam mu tę lekkomyślność, skoro przyniosła mi radość — odparła, uśmiechając się pani de Kermor. — A cóż to jest takiego?

— Wysłał do mnie depeszę, bez poprzedniego porozumienia się z panią, w której prosi dla Henryka o rękę pewnej osóbki.

— A ta prośba jest spełnieniem moich najgorętszych pragnień! Nieprawdaż kochane dziecko?— odpowiedziała markiza, całując zmieszaną Janinę, którą w myśli dawno już uważała za swoją córkę.

Ale po chwili, spojrzawszy na Allana, wyczytała z jego twarzy, że ma jej do powiedzenia coś ważnego.

— Moja kochanko — zwróciła się serdecznie do Janki — jest pokoik przygotowany dla ciebie i oczekujący twojego powrotu, tuż obok mego buduaru. Pozostawię cię w nim i wrócę pomówić trochę z wujem twoim, który jest prawdziwym naszym przyjacielem. No, chodź ze mną, moja mała synowo. Będę dla ciebie bardzo surową i wymagającą opiekunką.

— A ja nielitościwym i gderliwym wujem — dodał Allan. — Już zacząłem nawet, ale to nic wobec tego, co teraz nastąpi.

Markiza odprowadziła Jankę do swojego pokoju i powróciła do Allana, zaciekawiona tem, co miała usłyszeć.

Opowiadanie jego o wypadkach w Bretanii napełniło ją zgrozą i oburzeniem. Teraz dopiero dowiedziała się o rezultacie szybkich poszukiwań Allana, o okropnych trzech zamachach planowanych na życie młodej dziewczyny i o tajemnym współudziale w nich Sydonii de Bressien! I pomyśleć, że istota podobna wkrótce miała wejść do jej rodziny, stać się córką i przybrać nazwisko Kermorów! Markiza drżała z gniewu, pogardy i wstrętu.

Kiedy Allan skończył mówić, milczała długą chwilę, przybita okropnością tego, czego się dowiedziała.

— Dzięki Bogu! — szepnęła wkońcu, oddychając z ulgą. — Ostateczna hańba i wstyd usunięte od nas zostały. Pan nie mógł zdemaskować tego łotra, nie narażając imienia naszego! Smierć barona de Bressien pokryje milczeniem wszystkie te smutne historye i zapobiegnie ciekawości ogólnej. Chyba, że pozostawił po sobie dowody swojego łotrowstwa i że śmierć jego nie była zrządzeniem losu, lecz rozmyślnem samobójstwem, usunięciem się przed odpowiedzialnością.

— O to niech się pani nie lęka, pani markizo — odparł stanowczo Allan. — Obiecuję pani, że już o tem więcej mówić nie będziemy. W nieobecności pana markiza, który w ostatnich czasach stanął na silnych nogach, zajmę się sam wszystkiem i sądzę, że uzna moją działalność.

Markiza ujęła jego rękę i uścisnęła ją serdecznie.

— Teraz ja z kolei muszę pana poinformować, kochany panie Allanie. Wiem już obecnie, gdzie znajduje się ta nieszczęśliwa Luiza, którą pan poszukiwał, aby ją oddać ojcu. Jeszcze jedno dobre dzieło, które pan przedsięwziął.

— Pani markiza się myli — odparł skromnie Allan. — Chciałem tylko przysłużyć się pewnemu wyższemu urzędnikowi, który mi był potrzebny...

— A więc niech pan uczyni dowolny użytek z tego listu — rzekła pani de Kermor, podając Allanowi list Luizy.— Co do mnie zaś, uczynię, co będzie w mojej mocy, aby ją pocieszyć. Udam się do szpitala i zobaczę się również z tamtą nieszczęsną istotą.

Allan przeczytał list i odparł poważnie:

— Przystąpię natychmiast do działania, a teraz żegnam panią markizę i polecam jej sercu największy skarb, jaki posiadam na świecie.

— Janinę kochamy na równi, panie Allanie. Bądź pan spokojny.

I podczas kiedy Allan pobiegł uprzedzić dyrektora biura poszukiwań o odnalezieniu Luizy Rieux, markiza de Kermor udała się do szpitala, aby odwiedzić nieszczęśliwą chorą. Zastała ją wychudzoną, zmienioną do niepoznania. W bladej, wyschniętej twarzy, w której trudno było odnaleźć dawne, sympatyczne rysy młodej dziewczyny — błyszczały rozgorzałe, trawione gorączką, powiększone, szkliste, czarne oczy. Wątłe jej dłonie, spoczywające na kołdrze, drgały konwulsyjnie.

Nawet tu, w szpitalu, dano jej odczuć grozę jej położenia. Na ogólnej sali, zastawionej łóżkami, dano jej w kącie materac, wsparty na drewnianem podniesieniu, przykryty grubem, szarem płótnem. Nad nią, na ścianie wisiała tabliczka z wypisanem nazwiskiem.

Kiedy ujrzała wchodzącą markizę błysk nagły zaróżowił zapadnięte jej policzki. Usiłowała podnieść się, lecz zaraz bezsilna opadła na poduszkę.

— Oh! Boże miłosierny! — szepnęła. — Pani zechciała przyjść aż tutaj?

— Zapewnie, moje dziecko — odparła łagodnie pani de Kermor, całując ją w czoło. — Mam tu zresztą inną jeszcze chorą, w bardzo niebezpiecznym stanie, ofiarę okropnego wypadku... pożaru.

— Ah! ta biedna, poparzona! — zawołała Luiza. — Jest tutaj, obok w tamtej sali — dodała, wskazując ręką drzwi zamknięte. — Oh! jak ona strasznie cierpieć musi! W nocy przy opatrunku krzyczała rozpaczliwie! Wkońcu uśpiono ją. Nie wiem, czy dopuszczą do niej panią markizę, bo wstęp do niej surowo wzbroniony.

— Wiem o tem, ale postaram się jednak, aby mnie do niej wpuszczono. Ale teraz mówmy o tobie, moje dziecko. Mam dla ciebie dobre wiadomości. Nie wiesz, że już oddawna ojciec twój ci przebaczył i że poszukiwał cię niecierpliwie. Uprzedzono go już, że znajdujesz się tutaj i zapewne ujrzysz go wkrótce.

— Oh! pani markizo! Co za radość! Jakże wdzięczną pani jestem!

— I twoja mała przyjaciółka odwiedzi cię również niedługo!

— Janka?

— Tak, ona. Chciałam bardzo zabrać cię stąd moje dziecko i dać ci lepszą opiekę, ale powiedziano mi, że jesteś jeszcze zanadto osłabiona. Może za dni kilka...

Luiza Rieux uśmiechnęła się smutnie.

— Wątpię. Lekarz zabronił mi najlżejszego ruchu. A zresztą, co robić? Trzeba się zgodzić z losem, nieprawdaż?

— Nie mów tak, kochanko — rzekła markiza silnie wzruszona — Jeszcze wszystko może być dobrze. Pomówmy teraz trochę o Janinie. Chcesz?

— Czy ja chcę?! Ja tak często o niej myślałam.

— Wyjdzie wkrótce za mąż...

— Co za szczęśliwa wiadomość.

— Będzie szczęśliwą...

— Oh! tak! powinna być szczęśliwą, bo na to zasługuje. Gdybym śmiała, tobym jej życzyła tego szczęścia również, które mogło być moim udziałem! Ale nie! Nie powinam osobą swoją zakłócać jej spokoju. Od takich istot uciekać się powinno! Niech jej pani tu nie przyprowadza!

— Dziecko jesteś, Luizo! Niepotrzebnie się wzruszasz — szepnęła pani de Kermor, pochylając się nad nią i ujmując serdecznie w ramiona.

Długą chwilę jeszcze siedziała na nędznem posłaniu chorej, pocieszając ją i rozmawiając dobrotliwie, pomimo, iż przeczuwała, że to widzenie może już być ostatniem.

— Do widzenia, drogie dziecko — rzekła wkońcu, powstając — Do jutra. Odwiedzę cię z Janką.

Przed opuszczeniem szpitala, udała się jeszcze do dyrektora z zapytaniem o Sydonię. Poinformował ją, że leży ciągle prawie nieprzytomna, nie poznając nikogo, lecz nie tracił nadziei, że wyratowaną zostanie. Będzie tylko zeszpeconą na całe życie. Co zaś do Luizy Rieux, to nieszczęśliwa dziewczyna była już zupełnie straconą i każdej chwili można było oczekiwać ostatecznego końca.

— — — — — — — — — — — — —

Pułkownik Rieux, wysłany do Afryki, dla stłumienia buntu, szerzącego się coraz żywiej między tubylcami, otrzymał dnia jednego naglącą depeszę od dyrektora „biura poszukiwań“, wzywającego go do natychmiastowego powrotu. Córka jego była odszukana, lecz dni jej życia były policzone.

Odpowiedział, że dopiero za miesiąc może być z powrotem we Francyi, wstrzymany obowiązkiem służbowym.

Wiadomość ta kojąco podziałała na młodą dziewczynę. Zdawało się, że stan jej zdrowia polepsza się, siły utracone powróciły cokolwiek. Odebrała ją z ust markizy de Kermor, która wywiązując się z danej obietnicy, odwiedziła ją wraz z Janką, oficyalną już narzeczoną hrabiego de Kermor, powracającego do kraju wraz z ojcem.

Odtąd codziennie markiza i Janka udawały się do szpitala w Beaujon. Ponieważ jeszcze stan zdrowia chorej nie pozwalał na przewiezienie jej do pałacu pani de Kermor, przeniesiono ją tymczasem do pokoiku, znajdującego się obok pokoju, w którym spoczywała Sydonia. Ból i nienawiść jeszcze nie ustąpiły z serca tej ostatniej. Powodowana tą ciągle w niej tlejącą nienawiścią, nie chciała przyjąć u siebie markizy de Kermor, która nie nalegała więcej i przez dyżurnego lekarza otrzymywała wiadomości o chorej.

Kiedy Sydonia odzyskała przytomność, ostrożnie powiedziano jej o śmierci ojca i ta wiadomość jeszcze zaostrzyła jej gniew i żal nienawistny.

Allan zaś, wydawszy specyalne rozporządzenie, chroniące rodzinę Kermorów od mogących powstać komplikacyi po śmierci Izmaela Bronna, odjechał do Ameryki, aby uregulować swoje interesa zaniedbane cokolwiek przez bytność jego we Francyi.

— Muszę w dwa dni naprawić zło, którego jesteś przyczyną — rzekł śmiejąc się do Janiny — i przywieźć twój posag, leżący tam, z tamtej strony Atlantyku. Nie zabieram cię z sobą, moja kochana, bo nie rozporządzam żadnym pokoikiem panieńskim w towarzystwie „Allan's-rait“. A lepiej będzie dla ciebie, jak pozostaniesz tutaj i nauczysz się arystokratycznych manier, jakie ci dziś przystoją, a o których twój stary wuj niema pojęcia. Przypominam ci tylko, że gdyby ci przyszła ochota wybudować linię kolei żelaznej, to chętnie ci w tem dopomogę, bo w tych sprawach nie dam się nikomu prześcignąć.

I Janka uszczęśliwiona ucałowała gorąco starego gderacza, obiecując zasięgnąć jego rady w tym kierunku i odprowadziła go wraz z markizą na kolej.

Andrzej Delrue od chwili ucieczki w skałach Per-Roche nie dawał znaku życia. Wiedział, jaka na nim może ciążyć odpowiedzialność za poczynione nieszczęścia i zdrady. Wolał więc nie pokazywać się wcale, pragnąc, aby o nim zapomnieli jak najprędzej. Pomimo to jednak był znaną osobistością na Giełdzie, szczególniej od katastrofy bankowej barona de Bressien i wyjazdu strasznego swojego przeciwnika do New Jorku. Nie opuścił ani jednego posiedzenia i grał wysoko.

Pożar na bulwarze Haussmanna zniszczył na zawsze oskarżającą odbitkę jego sfałszowanego kwitu, a morze unosiło ze sobą ostatnie dowody jego smutnych zeznań. Nie istniało więc już teraz nic jawnego przeciw niemu. W trakcie tego dochodzenie przeciw staremu lichwiarzowi zakończone zostało; Collin Megret skazany został na pięć lat ciężkiego więzienia, wspólniczka zaś jego, pani Wiktorya na trzy lata, z zabronieniem dalszego przebywania w kraju. Była to wiadomość przynosząca spokój i zapewnienie bezpieczeństwa dla Andrzeja Delrue. Nędznik więc czuł się zupełnie krytym przed poszukiwaniem i odpowiedzialnością, musiał się tylko strzedz bardzo spotkania z Henrykiem de Kermor i pięścią nieubłaganego Amerykanina. Pocieszał się do tego myślą, że zemstę ich powstrzyma obawa przed rozgłosem i skandalem, tembardziej teraz, kiedy zamiar małżeństwa Henryka z Janiną dostał się do publicznej wiadomości.

On jeden tylko mógł je zerwać i rzucić cień na niewinność młodej dziewczyny. A Luiza Rieux... dziecko i jej choroba śmiertelna czy mogły mieć dla niego znaczenie jakie?...

Sprawca nieszczęścia Luizy mógł się również poszczycić, że cierpienie pułkownika Rieux było jego dziełem. Bo boleść tego złamanego starca równała się teraz z bólem jego córki.

Smierć, na którą liczył w czasie swojej ekspedycyi służbowej, oszczędziła go i nie przyniosła wyczekiwanego spokoju. Pułkownik powrócił do Fran-

cyi, witany owacyjnie. — Natychmiast po przybyciu pobiegł do dyrektora „biura poszukiwań“, który poinformował go o wszystkiem, mówił z nim o Alanie le Brenn, markizie de Kermor i Andrzeju Delrue. Nie bez wahania wymienił przed nim to ostatnie nazwisko.

Błysk dzikiej radości zaświecił w oczach pułkownika i nadał jego ponurej i martwej twarzy wyraz dawnej młodości.

— Tylko, mój pułkowniku, bez szaleństw! — ostrzegł go urzędnik. — Co pan uczynić teraz zamierza?

— Zabiję go! — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Zabić go! to ładnie w słowach wygląda, bo nędznik na to zasługuje... Ale przecież zastanów się pan nad skutkami!

— Już się zastanowiłem... — odparł twardo pułkownik. — Czy zechce mi pan służyć za świadka?

— Ah! pojedynek! To co innego — zawołał uspokojony urzędnik. — Chcesz pan, abym był jego świadkiem? No, zapewne, takich rzeczy nie powinno się odmawiać... Ale jeżeli się panu nie poszczęści, ręka zawiedzie?

— W takim razie ten pan powie sobie, że od jednego zamachu zabił ojca i córkę.

— Ale on podobno chce wynagrodzić krzywdę, nadać córce pana swoje nazwisko przed jej śmiercią?

— Jego nazwisko! Zapóźno już! — załkał pułkownik Rieux. — Wobec śmierci, mój panie i takiej śmierci, krwi potrzeba, nie nazwiska!

Ale natychmiast opanował się i mówił dalej już spokojnym głosem.

— Wybiorę szpadę! Mniej nieszczęścia przyniesie i przypadku. Ale jeszcze jedno, drogi panie. Wielka ostatnia przysługa. Nie chciałbym, aby ta smutna sprawa rozgłosiła się... rozumie pan? A czy sądzi pan, że ten pan Allan przyjąłby prośbę moją?

— Aby być drugim świadkiem pana? Oh! Zaręczyć za niego mogę, że nie odmówi. Nie wiem tylko, czy już powrócił z Nowego Jorku. Ale zaraz się o tem dowiemy. Zatelefonuję zaraz do jego hotelu. Czy chce pan zaczekać na odpowiedź?

— Ależ naturalnie.

— Odpowiedź nadeszła szybko: „Pan Allan dziś rano powrócił z podróży. Oczekuje przyjaciół na dworcu lyońskim i z wszelką pewnością będzie wieczorem w hotelu“.

— To doskonale! — rzekł dyrektor biura poszukiwań. — Biorę na siebie obowiązek przygotowania wszystkiego. Ale na kiedy, drogi pułkowniku?

— Na jutro... o wczesnej godzinie. Dziękuję panu. Jestem już teraz o wiele spokojniejszy. Udam się do szpitala zobaczyć moje biedne dziecko.

Pułkownik Rieux uścisnął gorąco dłoń zacnego urzędnika i wyszedł spiesznie z biura.

— — — — — — — — — — — —

Allan le Brenn powrócił rzeczywiście dnia tego z podróży i nie przebierając się nawet, udał się natychmiast na ulicę Beotic, skąd wraz z markizą de Kermor i Janiną pojechał na dworzec lyoński, aby powitać markiza i Henryka, powracających z Afryki.

Na wszystkich twarzach jaśniała radość i zadowolenie. W jakich przyjemnych i szczęśliwych warunkach miało się odbyć to spotkanie! Jakże niepodobnym był ten drugi powrót Henryka de Kermor z ekspedycyi do pierwszego, kiedy to na dworcu oczekiwał Andrzej Delrue, którego uważał jeszcze młody podróżnik za oddanego przyjaciela i wdzięcznym mu był tak bardzo za okazaną troskliwość i przywiązanie. Henryk nie przeczuł, że wówczas na dworcu witał go szpieg tajemny, wysłany przez barona de Bressien i że widoczne zajęcie się smutnym stanem finansowym jego rodziny pokrywało zdradę i sprzedajność tego, któremu on sam, tak jak i markiz, ufali bez granic. Oczekiwany pociąg wbiegł na dworzec sapiąc i dysząc niecierpliwie. Zrobił się ruch i zamieszanie. Janina wzruszona, z bijącem sercem, stała obok pani de Kermor, ściskając nerwowo jej rękę, wpatrzona w tłum podróżnych, w chaosie wysiadających z pociągu. W gorącem oczekiwaniu swojem, nie zauważyła, kiedy wybiegł z niego Henryk i już stał przy nich drżący, przejęty ważnością tej radosnej chwili, tak długo wyczekiwanej.

— Mamo droga! Janino! Przebacz mi! Przebacz!

— Henryku! Moje dziecko!

— A dla mnie nic nie będzie? — zaprotestował głos Allana le Brenn, patrząc z zadowoleniem na tę scenę.

— Znajdzie się i dla ciebie, drogi przyjacielu — odparł markiz de Kermor, ściskając go serdecznie.

Ale już Henryk był w jego ramionach. Oczy Allana nabiegły łzami. Czyż ta chwila nie wynagradzała go za życie całe spędzone na tułaczce, wśród obcych. Nie oddałby jej za żadne skarby świata. Czemże wobec niej była wartość jego zdobytych milionów. To było największe, najwspanialsze zwycięstwo starego Allana.

Wśród ogólnej radości powrócono do pałacyku na ulicy Beotic i dnia tego zapomniano całkiem o biednej Luizie Rieux. Ale Henryk postanowił dzień następny poświęcić jej całkowicie. Uważał, że świętym jego obowiązkiem było iść podziękować jej za uratowanie Janiny od hańby, a może i śmierci. Pójdzie tam w towarzystwie narzeczonej i Allana. Allan sam się narzucił na towarzysza, mówiąc, że czuliby się zanadto szczęśliwi, gdyby im pozwolono pójść tylko razem, ale pod tym żartem ukrywał inną przyczynę. Lekki niepokój dręczył go: powiedziano mu bowiem, że Sydonia była na drodze do odzyskania zdrowia, a z tej strony mogło jeszcze grozić jakieś ukryte niebezpieczeństwo.

— Jakże biedna Luiza ucieszy się twoim widokiem, Henryku — rzekła Janina, kiedy nazajutrz zdążali do szpitala w Beaujon — Ona jest taka dobra i tak wiele ma przywiązania do nas. Mówiłam jej też wiele o tobie, wuju Allanie. Gorąco pragnie cię poznać!

Allan le Brenn trzymał się w pewnem oddaleniu, kiedy zdążali do Beaujon. Młodzi ludzie mieli sobie tyle do powiedzenia po tak długiem niewidzeniu, że nie chciał im przeszkadzać!

Wzruszająca niespodzianka czekała ich wszystkich, kiedy wchodzili do pokoju Luizy.

Człowiek o siwych włosach, czarno ubrany, z wstążeczką legii honorowej na piersiach, klęczał u łóżka chorej. Był to pułkownik Rieux! Nie tylko przebaczył nieszczęśliwej córce, ale wzamian gorąco błagał ją o przebaczenie za okazaną dotąd surowość i bezwzględność.

Luiza czuła się już bardzo słabą, ostatnie chwile jej życia nadchodziły prędko, ciężki, świszczący oddech podnosił zapadnięte jej piersi.

Janina i Henryk stanęli w milczeniu, przejęci tym smutnym obrazem. Patrzeli w skupieniu, pod wrażeniem coraz silniej ogarniającego ich wzruszenia, nie śmiejąc się już zbliżyć.

A tymczasem, tam, w drugim pokoju, czuwała, gotowa na wszystko, nienasycona zemsta i nienawiść!...

Sydonia dnia tego poraz pierwszy opuściła łóżko. Mogła nareszcie ujrzeć swoją twarz w odbiciu okna i cofnęła się zdumiona jak przed ujrzeniem widma! I taką pozostać miała na zawsze! Ani śladu z dawnej jej urody i dumnego, wyzywającego blasku złotych oczu! Wszystko zniknęło bezpowrotnie, pozostawiając tylko w jej duszy ponury żal i bezradną wściekłość. Ale ona nie mogła pogodzić się z losem, nie mogła żyć dalej z tą myślą, że pozostawiła już wszystko poza sobą, nie mogła podzielić uległości ojca, który stracił wszelką nadzieję w odwet losu. Dawna odwaga i zła zuchwałość ogarnęły ją gorącym płomieniem. Ona wejść może w cień zapomnienia, ale przedtem zemści się jeszcze, zemści w jedyny sposób, którym już dzisiaj rozporządzać mogła! Skoro ona straciła niepowrotnie cały swój czar kobiecy i władzę, niech jej szczęśliwa rywalka zazna też okropności takiej straty, niech zniknie jej uroda, która odniosła nad nią zwycięstwo!

Wyśledziła dokładnie porę zwykłą odwiedzin Janiny, przychodzącej pocieszyć przyjaciółkę i przygotowała wszystko do tego ostatniego, szatańskiego zamachu! Z przyległego gabinetu doktora, służącego za laboratoryum do analiz, przebiegle uniosła flaszkę kwasu siarczanego. Znana jej jest dobrze jego własność niszcząca. To płynny ogień, niebezpieczny i działający zabójczo.

Opatrzność zbrodni czuwa nad nią jeszcze. Oto idzie Janina wspartą na ramieniu człowieka, którego uważała już za własność swoją. Widoku tego znieść już nie była w stanie! Sposobność nadarzyła się doskonała! Właśnie teraz, w chwili pełnej szczęścia radosnego, dokona zemsty! Otworzyła ostrożnie drzwi od korytarza i posunęła się naprzód. Za chwilę zniknie bez śladu wdzięk tej znienawidzonej dziewczyny, a wraz z nim i miłość jej narzeczonego! Ale oto ręka jakaś się podniosła, uzbrojona w ciężką laskę i pada ciosem udatnie wymierzonym na jej rękę... Flaszka rozbiła się, płyn wybiegł na posadzkę, zwęglając ją natychmiast.

Sydonia z okrzykiem bezsilnej wściekłości ucieka, wpada do swojego pokoju, gdzie zamyka się gwałtownie. Poznała Allana! Ou to raz jeszcze stanął w poprzek jej zbrodniczym zamiarom. Allan le Brenn miał dobre przeczucie. Z pokoju Sydonii za chwilę wybiegły dzikie okrzyki bólu i rozpaczliwe jęki. Służba szpitalna wyłamała drzwi siłą. Przejmujący zgrozą widok przedstawił się ich oczom. Sydonia wymierzyła sobie sama sprawiedliwość. W przystępie szalonej rozpaczy, wypiła resztę zawartości flaszki z palącą trucizną! Niewinność Janki le Brenn raz jeszcze odniosła zwycięstwo!

Ale w pokoiku Luizy Rieux anioł śmierci roztoczył już swoje panowanie. Leży bezwładna na poduszkach, nie dając już znaku życia. Nikły płomyk, tlejący się w jej wycieńczonem ciele, gaśnie powoli. Na twarzy jej bladej wykwitł spokojny uśmiech.

Nie wie nic o ponurej scenie, która rozegrała się niedaleko niej, gdyż zapadła już w stan znieczulenia i niemocy. Ale oto nagle powraca jeszcze do życia, przez półmrok cichego snu, jaki ją obejmuje, słyszy szepty jakieś. Dobiega ją nazwisko Andrzeja Delrue. Ktoś mówi o wybranem miejscu nad brzegami Sekwany, o rannej godzinie, o szpadzie! Walka ma się odbyć na śmierć i życie... po amerykańsku...

To ojciec jej mówi, odprowadzając Allana do drzwi. Allan przytakuje i odpowiada: Dobrze, na miejscu pana uczyniłbym to samo, ale tam, po tamtej stronie wody, wypaliłbym mu w łeb jak psu, bez najmniejszych skrupułów.

— — — — — — — — — — — —

Delrue nie mógł się cofnąć i nie przyjąć wyzwania. Pewny był zresztą swojej zręczności i pewności we władaniu bronią. Miał zamiar zaraz z rozpoczęciem walki, lekkiem cięciem w ramię, ubezwładnić starego pułkownika i uczynić dalsze starcie niemożliwe.

Pojedynek ten będzie dla niego reklamą, podniesie go w oczach opinii publicznej. Allan le Brenn i jego świadkowie będą musieli uznać jego odwagę i zimną krew. Ale stanąć do walki musi, bądź co bądź... W dzień jednak pojedynku niespokojny był od rana, a kiedy nadeszła chwila, w której musiał ująć za broń i stanąć naprzeciw, wobec surowego i zimnego spojrzenia przeciwnika, zadrżał jakby w przeczuciu wielkiego nieszczęścia...

Nie mógł przeczuć jednak, że w tym czasie przez ciche wody Sekwany przepływała łódź niewielka i dobijała do brzegu, wioząc bladą, wynędzniałą kobietę w ciemnem ubraniu, o palących się tragicznym ogniem dużych, czarnych oczach.

Kobieta ta, podobna już do widma, prześlizgnęła się przez gąszcza okalające wybrzeże i nagle stanęła przed nim, prostując się ostatnim wysiłkiem nerwów i sprawiedliwej zemsty. Rozległ się strzał... jeden... drugi i ciało nędznika zwaliło się jak kłoda na ziemię.

— Podły nędzniku! masz! masz! to za mnie i mojego biednego ojca... — wyszeptała w spazmatycznym jęku kobieta, słaniając się w śmiertelnej niemocy na ramię nadbiegającego pułkownika.

Wczesnym rankiem Luiza Rieux, która przez noc całą uprzytomniała sobie okropne spotkanie, mające nastąpić między ojcem jej a nędznikiem, winnym jej nieszczęścia — wysunęła się podstępnie z murów szpitala, z rozpaczliwem postanowieniem ochronienia ojca i uściskania go raz jeszcze. Zachowała na szczęście broń, o którą się raz już postarała w tym samym celu. Teraz konającem, ostatniem spojrzeniem obejmuje siwą, drżącą głowę, pochyloną nad nią z miłością i zamyka oczy, uśmiechając się pogodnie. Już teraz umrzeć może, kiedy usta ukochanego ojca czuje na swojem czole i wie, że żyć dalej będzie z jej wspomnieniem w sercu...

— — — — — — — — — — — —

Od wypadków ostatnich upłynęły tygodnie i miesiące. Zycie idzie dalej niezbadanym biegiem swoim, z siłą odradzającą i nową... Żałobę i smutek już pozostawiło za sobą — już czas, lekarz najtroskliwszy, pokrywa je mgłą zapomnienia, naprowadza nowe myśli, nowe radości i marzenia.

Gorąca łuna słoneczna, świetlane blaski rzuca na ciemne, głębokie wody Oceanu. Powietrze czyste jest i drżące, napełnione światłem i radością. Natura cała zdaje się być ożywioną siłą odżywczą, przepojoną weselem i szczęściem...

Donośny głos dzwonów z kościoła w Kermor roznosi się wdzięcznem echem po całej okolicy... Ludność starej osady rybackiej w tryumfalnym pochodzie wita nową panią zamku, którą zna i kocha od dzieciństwa. W radości tych dzielnych ludzi mieści się duma. Mała Janka le Brenn, córka rybaka Iwona, została dziś hrabiną de Kermor! Wsparta na ramieniu swojego męża, sławnego podróżnika, wita ich spojrzeniem pełnem przywiązania i wdzięczności.

A tam na morzu, blado-złoty jacht z rozwiniętymi żaglami kołysze się lekko, oczekując na młodą parę. To jeszcze jeden podarunek starego Allana. Pozostanie on na zawsze w rodzinie Kermorów i w towarzystwie drogich sobie przyjaciół oczekiwać będzie niecierpliwie na powrót ukochanej siostrzenicy i jej męża.

KONIEC.



Wojna w Polsce. Rynek w Turce.

Najgroźniejszy przeciwnik na morzu.

W obecnej wojnie, która na lądzie uruchomiła tak olbrzymie masy wojska, znalazły zastosowanie dwa najnowsze wynalazki — aeroplan i łódź podwodna. I odrazu okazała się ich olbrzymia doniosłość bojowa. Aeroplany, nie licząc śmiałych wypraw w głąb nieprzyjacielskiego kraju, oddają nieocenione usługi każdej armii, a łodzie podwodne stały się decydującym czynnikiem na morzu. Olbrzymy morskie, uzbrojone w wieże pancerne i ciężkie działa, muszą uciekać i kryć się przed tym małym, a najgroźniejszym niewątpliwie na morzu przeciwnikiem.

Występ znakomitego pianisty holenderskiego w Krakowie.

Przedstawiamy dziś Czytelnikom bardzo interesującego artystę. Egon Petri, znakomity pianista holenderski, którego Kraków poznać ma w tym tygodniu, ma, pomimo swych zaledwie trzydziestu kilku lat, już bardzo ciekawą karyerę artystyczną poza sobą. Nazwisko „Petri“ ma zwłaszcza w Niemczech dobre brzmienie. Ojciec pianisty był słynnym koncertmistrzem opery drezdeńskiej i prymatyuszem wybornego kwartetu. Egon Petri, kształcony równocześnie w grze skrzypcowej i fortepianowej, grał już w młodym wieku jako drugi skrzypek w kwartecie swego ojca. Jednakże Ferrucio Busoni, szczególnie zaś nasz mistrz Paderewski, zaprzyjaźniony blizko z domem Petrich, zwracali uwagę na to, że talent Egona jest wybitnie pianistowski. Zdanie Paderewskiego przeważyło i pod kierunkiem Busoniego rozpoczął Egon Petri studya już ściśle pianistyczne.

Zwrócić na siebie uwagę pierwszym występem wśród setek pianistów, dobijających się uznania w salach koncertowych, jest nielada sztuką. Dokazał jej Petri. Początki jego karyery koncertowej były przyjęte przez krytykę jak sensacyjna rewelacya. Odrazu też stał się Petri propagatorem dzieł, leżących poza utartym repertuarem wielkości pianistycznych, zwłaszcza zaś Bacha i Liszta. W jego wykonaniu zyskały mało znane utwory Bacha sukces popularności, wśród najszerszej, nie tylko muzykalnej publiczności, zaś Liszt, służący zwykle pianistom na końcu programu za popis technicznej sprawności, fascynował długim szeregiem dzieł, których poezyę i szlachetny styl Petri oddawał, jak nikt inny. Rzecz znamienna, że pianista zyskał popularność nie schlebianiem popularnym upodobaniom, lecz zmuszając szeroką publiczność swoją sztuką do entuzyazmu dla dzieł najwyższego stylu. U nas, gdzie całe życie muzyczne przystosowuje się przeważnie do gustów najpłytszych,



Występ znakomitego pianisty holenderskiego w Krakowie: Egon Petri.

będzie występ takiego bezkompromisowego artysty ożywczą wycieczką w dziedzinę wielkiej sztuki.

Należy nadmienić, że Petri był przez szereg lat profesorem w Royal College of music w Manczesterze, jednakże na niedługo przed wojną opuścił to stanowisko, nie mogąc obowiązków pedagogicznych pogodzić z coraz bardziej rosnącemi zobowiązaniami koncertowemi.



Na wschodnim froncie: Transport jeńców rosyjskich. (Fot. C. B. W. — N. K. N.)

Kronika tygodniowa.

Bieżący tydzień zaczęliśmy pod znakiem karty cukrowej. Jest ona dla Krakowa nowością, nic też dziwnego, że obecnie o niej się tylko mówi, wobec czego i kronikarz *Nowości illustrowanych* pozwoli sobie poświęcić jej żałosne wspomnienie.

Na pierwszy rzut oka jest ona zupełnie podobną do karty chlebowej, nieco tylko mniejszą i, jak się sam przekonałem językiem, nie jest wcale słodką. Czytamy tam, że każdy obywatel i obywatelka, którzy będą mieli to szczęście, że zostaną nią obdarowani, mogą w ciągu czterech tygodni spożyć siedmset pięćdziesiąt gramów cukru, co według dokładnych obliczeń równa się czterem do pięciu kostkom dziennie. Jest to stanowczo zbyt mało, w ten sposób nikt nie będzie w stanie osłodzić sobie swej gorzkiej doli, trzeba bowiem pamiętać, że wliczony jest w to już i ten cukier, jakiego potrzeba do przyrządzania różnych legumin.

Wobec tego zaczęto się zastanawiać nad tem, w jakiby sposób można brakowi zaradzić. Najlepszym wydaje mi się podany przez hr. Olizara w jego „Pamiętnikach pobytu na Syberyi“. Opisując tamtejsze zwyczaje, opowiada, że mieszkańcy Syberyi najbardziej bogaci, o ile ich stać na to, podają gościom cukier do herbaty tak samo, jak u nas, mniej zamożni postępują w ten sposób, że podają herbatę niesłodzoną, kawałek zaś cukru wisi u powały na sznurku i przechodzi z ust do ust biesiadników. To się nazywa „z prikuskoju“. Biedniejsi jeszcze postępują sobie w ten sposób, iż kawałeczek cukru wisi tak wysoko, że nikt go nie dostanie, herbaciani goście mogą się nań tylko patrzyć i oblizywać się i niejednemu się zdaje, że herbata jest słodką. Taki sposób podawania herbaty zwie się znowu „z prydumkoju“. Im kto ma bujniejszą fantazyę, tem herbata wydaje mu się słodszą.

Otóż, zastanawiając się nad tymi sposobami, doszedłem do przekonania, że na nasze stosunki najodpowiedniejszym jest ten ostatni sposób, można się bowiem obejść zupełnie bez cukru, zamiast zaś niego postawić tylko na stole próżną cukierniczkę, która będzie budzić wspomnienie lepszych czasów i powodować obfitsze wydzielanie się w jamie ustnej słodkiej śliny. Do tego potrzebną jest jednak, jak już wyżej zaznaczyłem, bujna fantazya, należy też gorliwie pracować nad jej wyrobieniem. W tym celu polecam gorąco pilne czytanie artykułów wstępnych naszych pism codziennych i urzędowych telegramów.

Ktoś tam wprawdzie twierdził, że na razie przynajmniej, dopóki zapasy jeszcze starczą, możnaby stosować drugi sposób tak zwany „przekąskowy“, ja przecież jestem tego zdania, że jest on w naszych stosunkach nieodpowiedni. Wyobrażam sobie taką popołudniową herbatkę u pani radczyni lub pani mecenasowej. Dookoła stołu siedzą zgromadzone niewiasty, w środku, u lampy, wisi kawałek cukru. Oczy wszystkich zwrócone tylko nań, żadna ani słowa nie przemówi, bo każda czeka, od kogo też gospodyni zrobi początek, na kogo później przyjdzie kolej, hierarchia bowiem musi być przecież i tutaj utrzymana. Jakżeby to wyglądało, gdyby na przykład oblizała cukier pani sędzina przed panią nadradczynią. To byłoby ubliżeniem jej godności!... Zresztą mówić nawet niepodobna, gdy w ustach zbiera się ślina na widok słodkiego smakołyku. A cóż warta poobiednia herbatka bez rozmowy, bez obrabiania bliźnich, bez kucia plotek? Z tego wynika, że tylko trzeci sposób powinien u nas zyskać sobie jak najszersze rozpowszechnienie.

Zaznaczyć też należy przy sposobności, że Galicya została znowu pokrzywdzoną, gdy bowiem w innych krajach koronnych na głowę... chciałem powiedzieć żołądek i cztery tygodnie przypada aż tysiąc dwieście pięćdziesiąt gramów, nam przyznano tylko siedmset pięćdziesiąt. Widocznie w Galicyi musi być jeszcze dość słodko, słodziej niż gdzieindziej. Ja, o ile mnie to dotyczy, nic sobie z tego nie robię, słodycze wszelkie zostawiając sobie na życie przyszłe, gdzie można ich zażywać dowoli bez potrzeby starania się o kartę cukrową. Wystarczy wykazanie się kartą pośmiertną, a do jej uzyskania nie potrzeba przedkładać świadectwa szczepionej ospy. Choć znów z drugiej strony każdy powinien się o tego rodzaju świadectwo postarać, dla niejednego bowiem będzie ono jedynem, na którem wyraźnie wypisano „ze skutkiem dodatnim“. Przy staraniu się później o jaką posadę świadectwo szczepienia ospy „z dobrym skutkiem“ może mieć taki sam walor, jak poświadczenie z ukończenia „szwimszuli“. Znam jegomościów, którzy tylko dzięki tym świadectwom są dziś tem, czem niejeden z nas nigdy nie będzie, choćby zdał sto egzaminów rządowych i uzyskał wszelkie dostępne zwykłemu śmiertelnikowi doktoraty.

Nowe przepisy cukrowe krzywdzą też w wysokim stopniu kawalerów, nie prowadzących gospodarstwa domowego, wykluczają ich bowiem od otrzymania karty, a co za tem idzie, zmuszają ich do uczęszczania do kawiarni i cukierni na kawę i herbatę. A takich jest u nas wielu. Sam znam kilkudziesięciu, posiadających primusy i maszynki spirytusowe i warzących sobie codziennie herbatkę. Jest to jedno z najprzyjemniejszych zajęć starokawalerskiego żywota, które jednak będzie musiało przejść do historyi, jakże bowiem pić herbatkę bez cukru?... Tego rodzaju starokawalerskie herbatki miały swój specyalny urok, nieraz przy stole zbierało się po kilku i kilkunastu towarzyszów niedoli i mile wspominali sobie dawne, lepsze czasy.

Ale może to i dobrze!... Może choć w ten sposób zmuszeni zostaną do wejścia w związki małżeńskie. „Kto chce kochać, cierpieć musi“, powiada stare przysłowie, które odwrócone do góry nogami brzmieć będzie obecnie: „Kto nie chce cierpieć, kochać musi“, czyli skłonić swój kark pod jarzmo małżeńskie. Stary kawaler, który wyrzekł się dobrowolnie słodyczy małżeńskiego pożycia, chcąc teraz zażyć słodyczy cukrowych, musi się nawrócić i przestać być sprośnym samożyjcem, a na tem wyjdzie dobrze cały ogół i to jest właśnie dodatnia strona kart cukrowych.

Dzięki im może i mnie uda się obecnie pozbyć nareszcie z domu swych latorośli, z których żadna nie otrzyma wprawdzie odemnie posagu, każdą jednak wyprawię z błogosławieństwem ojcowskiem i nienaruszoną kartą cukrową na całe cztery tygodnie. Starzy kawalerowie, którzy pragną wieść żywot słodki, niech się więc namyślą, póki czas, później może być już późno, a szkoda marnować tak dobrą sposobność, gdy człek, bez wielkiego wysiłku i sobie samemu zrobi dobrze i przysłuży się także społeczeństwu. Proszę sobie nie robić nic z tego, że teraz mamy wielki post. Postaramy się o dyspenzę, a ślub taki, zwany „cukrowym“, będzie miał takie samo znaczenie jak i wojenny.

Okres mniej więcej dwutygodniowy przed wprowadzeniem owych kart cukrowych w życie, poświęcony był na gorączkowem gromadzeniu zapasów cukru w głowach, kostkach lub mączce. Kto miał trochę, chciał mieć więcej, kto nie miał nic, pragnął posiąść bodaj odrobinę. Koło sklepów, w których sprzedawano jeszcze cukier, formalne oblężenie, gnieciono sobie boki, łamano żebra, deptano odciski, każdy, a zwłaszcza każda, chciał być pierwszym i z tego właśnie widać, że my potrzebujemy słodyczy więcej, niż ich mamy. Dodać należy, że bardzo wiele osób, które mają wcale pokaźne cukrowe zapasy, pchało się i gniotło, zwiększając jeszcze tumult.

Spotkałem jednę znajomą niewiastę, która z tryumfującą miną uносiła pod pachą zdobyty kilogram cukru. Trzeba ją jednak było widzieć, żadne pióro nie jest w stanie opisać jej opłakanego wyglądu zewnętrznego. Kapelusz na bakier, włosy rozczochrane, ubranie podarte, parasolka złamana, policzki zaczerwienione, oddech przyspieszony.

Nie wiedząc, z jakiej wyszła opresji, a sądząc, że ją może spotkało jakie nieszczęście, pytam:

— A pani dobrodziejka skąd wraca?

— Chodziłam, kochany panie, po cukier! — odpowiedziała. — Zgnietli mnie to prawda, zdaje mi się, że mam nawet jedno żebro złamane, ale udało mi się dostać całe kilo!

— I opłaci się to pani dobrodziejce samej tak się męczyć?... Od czegóż sługa?

— Panie! To szelma, nie sługa! Teraz, gdy ciężkie czasy, daję jej tylko dwa kawałki cukru do kawy, a ona mi powiada, że to mało... Ja jej na to: To idź i kup... Pan myśli, że poszła?... Odpowiada mi na to: „Ani mi się śni!... Ja jestem za delikatna na to, by mnie tam mieli gnieść bez kilka godzin...“ Nie szelma?... Powiedz pan sam!

— Oczywiście!... I cóż pani na to?

— Cóżby?... Poszłam sama, bez cukru się człowiek nie obejdzie. Wszak przysięgłam memu mężowi ongiś przy ołtarzu, że mu życie osłodzę... A mój koteczek tak lubi słodkie leguminki... Mam wprawdzie niezgorszy zapasik w domu, schowany na czarną godzinę, ale od przybytku głowa nie boli. Lepiej, że później zostanie, niżby miało braknąć!

— Ale w ten sposób inni, którzy naprawdę cukru potrzebują, nie mogą go dostać!

— A cóż mnie inni obchodzą?...

Rozmowę tę przytaczam, jako dowód, że w owem gronie gniotących się przed drzwiami sklepu z cukrem, było bardzo wiele takich osobników, które być nie powinny, a poszły tam, nie mając nic lepszego do roboty, pędzone instynktem, mówiącym im: „Co tam reszta, ty myśl tylko o sobie!“

W sklepach więc brakło nareszcie cukru, zwłaszcza, że spekulanci zapasy schowali na lepsze, to jest droższe czasy. W pewnej restauracyi odmówiono mi szklanki herbaty, podając za motyw, że zostało tylko sześć kawałków cukru, a te potrzebne są dla rodziny gospodarza, słyszałem też, że pewna właścicielka kawiarni kazała sobie za trzy kawałki cukru dopłacić osobno do ceny herbaty aż dziesięć halerzy!... To już wyzysk, posunięty do ostatecznych granic, świadczący wprost o braku sumienia u pewnych warstw naszego społeczeństwa.

Dzięki kartom cukrowym, których pierwsza edycya jest śnieżnej białości, karty chlebowe zeszły na drugi plan, choć w ubiegłym tygodniu dały znów sposobność do rozmaitych rozmów i przypuszczeń. Sam na swoje własne uszy słyszałem, jak rozmawiały ze sobą dwie niewiasty, komentując odezwę magistratu, zawiadamiającą ogół, że odtąd tylko karty, opatrzone stampilią magistratu, będą miały walor.

Jednej z nich nie mogło się pomieścić w głowie, dlaczego dawniej karta i bez pieczęci miała znaczenie, a teraz go nie ma, druga rozcięła za jednym zamachem węzeł gordyjski, twierdząc:

— Bo widzi pani Maciejowa, teraz na tę kartę będą dawali chleb z masłem! Tak mi mówił znajomy woźny z magistratu.

I w miłej zgodzie pociągnęły „na kubek czarnej z rumem“, zadowolone, że bodaj w kawiarni kartą cukrową wykazywać się nie potrzeba. Tutaj rozpoczęły dyskusyę polityczną, z której podałbym treść, gdybym był brał w niej udział, niestety nie zostałem dopuszczony, a to wielka szkoda, ta sfera bowiem ma swą specyalną platformę, z której zapatruje się na obecną sytuacyę, a oryentacye jej często są bardziej trafne, niż nawet autorów wstępnych artykułów politycznych w naszych pismach codziennych.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko jednego z dowódców Legionów polskich.



Znaczenie wyrazów: 1. Sekta religijna. 2 Miasto w Bawaryi. 3 Twórca systemu socyalnego w XIX wieku 4 Małżonka Hektora. 5. Słynny fizyk włoski. 6. Królowa asyryjska.

Łamigłówka wojenna.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych nazwisk wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich imię i nazwisko (trzy wyrazy) jednego z dowódców Legionów polskich.

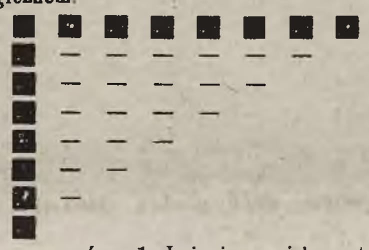
Sazonow.
Piłsudski
Salandra.
Dankl.
Lloyd George.
Lansing.
Radosławow.
Bratianu.
Chwostow.
Burian.
Mackensen.
Gallwitz.
Emmich.
Sonnino.
Carson.
Porro.
Derby.
Asquith.
Żyliński.
Goremykin.
Venizelos.
Poliwanow.
Skuludis.
Kriwoszein.
Tisza.

Szarada.
Ułożył St. Ekier, Kraków.

Pierwsza i druga polskie samogłoski,
Trzecia, spółgłoska z państwa neutralnego,
Czwarte i piąte, gdy dobre, bez troski,
Całość dokona wywiadu śmiałego.

Trójkąt magiczny.
Ułożyła E. Leyówna, Kołpiec.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko znanej pisarki na polu pedagogicznem.



Znaczenie wyrazów: 1. Imię i nazwisko autorki. 2. Imię żeńskie. 3. Imię męskie słowiańskie. 4. Miasto w Palestynie. 5. Cesarz rzymski. 6. Ptak. 7. Wykrzyknik. 8. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Deby! Pałac mira Sewy tli. Pu.

Logogryf.
Ułożył E Winter, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko osobistości, która swą humanitarną działalnością zyskała sobie głęboką wdzięczność i uznanie polskiego społeczeństwa.



Znaczenie wyrazów: 1. Minerał. 2. Imię męskie. 3. Inaczej szturm. 4 Statek do przewożenia przez rzekę. 5. Dopływ Dunaju 6. Rodzaj wojska. 7. Sygnał do zbierania się. 8. Narzędzie krawieckie. 9. Nakrycie głowy 10. Część ciała. 11. Miasto w Galicyi.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Dar powieś na sito. Z Rzęwe.

Szarada.
Ułożył H. M., Kraków.

Pierwsza jest niebezpieczna, gdy namiętność budzi,
Drugie przyimek, *trzecie* się mówi do ludzi,
Wszystko zdobi niekiedy, ale czasem za to
Śmierć szerzy i zniszczenie, rzucone armatą.

Bilety wizytowe.
Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Z liter na biletach ułożyć nazwę miejscowości, znanych z walk Legionów.

B. ROWKADOZA.

C. PROTEROWO.

C NOWEBRODO.

O. NARKIT.

M. TOŁOKOW.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11.

Trójkąt magiczny:

R	a	p	a	s	k	i	W	i	n	c	e	n	t	y
A	r	t	u	r	G	r	u	s	z	e	c	k	i	
P	i	e	s	k	o	w	a	S	k	a	ł	a		
A	r	y	s	t	o	k	r	a	c	y	a			
C	h	l	o	r	o	w	o	d	ó	r				
K	o	n	s	y	l	i	a	r	z					
I	n	s	p	e	k	t	o	r						
W	i	e	l	b	ł	ą	d							
I	l	l	u	z	y	a								
N	e	k	t	a	r									
C	a	ł	k	a										
E	m	i	l											
N	u	r												
T	y													
Y														

Zadania do przestawienia: Nim złodziej wołu ukradnie, próbuje indyka.

Logogryf:

	B	a	n	k	
r	o	l	n	i	k
	l	e	o	n	
l	e	k	a	r	z
	s	ł	o	ń	
s	ł	o	m	k	a
	a	t	a	k	
ś	w	i	d	e	r
	p	a	r	k	
p	r	a	ł	a	t
	u	ł	a	n	
k	s	i	ą	d	z
	g	ł	ó	d	
b	ł	a	w	a	t
	o	t	t	o	
o	w	a	c	y	a
	a	i	d	a	
s	e	y	s	y	a
	k	r	u	k	
m	i	k	a	d	o

Przysłowiówka: Głodnemu chleb na myśli.

Szarada: Karabin i szabla.

Zadanie do przestawienia:
1) Ani pies, ani baran.
2) As, bank trzasł.

Grzebieniówka:

M	a	c	k	e	n	s	e	n
o		y		n		i		e
l		s		n		e		m
i		t		i		w		e
e		e		u		n		z
r		r		s		i		i
e		s		z		k		s

Zadanie do przestawienia: Sparzony na gorącej, zimną studzi wodę.

Bilety wizytowe: Policmajster. Akwarelista. Recenzent teatralny. Czarnoksiężnik. Kolekcyonista.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Lięza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, M Oleksiukowa Wygoda, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S. Grodzicki Praga, L. Kowalski Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, R. Jędrzejowski Czerniowce, L. Kozłowski Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Sokołowski, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

W XX. stuleciu.

Panna Piperment, doktorka wszech nauk lekarskich, spaceruje po pokoju w szlafroczku około godziny jedenastej wieczorem. Wtem ktoś dzwoni do bramy.

— Kto tam?

— Proszę pani doktorki, to ja! Przyszedłem prosić, aby pani zechciała się pofatygować do mnie, ale zaraz, gdyż mi dziecko nagle zasłabło!

— Dobrze, proszę pana! — odpowiada zafrasowana — Ale proszę się pofatygować najpierw do mnie na górę! Musi mi pan pomódz ubrać się, bo wszystkie staniki moje zapinają się od tyłu, a właśnie pokojówka wyszła do miasta!...

Strapienie mamy.

— Ach! Kochana moja pani! Jak ja się wczoraj strasznie przelękłam! Zosia spadła ze stołu i tak krzyczała, że już byłam pewna, iż nie żyje!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego